

W DRODZE

DWUTYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI

Nr. 13 Jerozolima, 1 października 1943 r. Rok I

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

REFORMA USTROJU

Government of the people, by the people, for the people.
Abraham Lincoln

I

Nie ma bodajże odpowiedzialnego czynnika polskiego, któryby nie stwierdził, że przyszłość Polsce potrzebny jest demokratyczny ustroj. Oświadczenia te są oddźwiękiem dążeń narodu, które przy rozmaitych sposobnościach dają się odczuć. Złożyli je Prezydent Rzeczypospolitej, Rząd, Naczelnik Wódz. I wszystkie one są szczerze, bo są rezultatem pragnień ogólnych.

Pragnienie zmiany ustroju w szerokich masach czy to żołnierzy na obczyźnie, czy to Kraju, wynika z chęci zmiany stosunków. Trudno w tej chwili rozpatrywać wszystkie przyczyny, dla których się jej żąda. W każdym razie, i to będzie najbliższe prawdy, celem zmian jest przede wszystkim uzyskanie większej siły państwowej.

Przeżycia wrześniowe i ostatnie miesiące przed wojną wykazały, że mimo pozornego zlikwidowania wszystkich partii politycznych i zorganizowania jednego obozu politycznego, w chwili ciężkiej dla państwa trzeba było odwołać się do dawnych ugrupowań i do ich faktycznych przywódców. Wykazały one wysoki zmysł państwowy, duże poświęcenie (bataliony robotnicze w obronie Warszawy), popierając Rząd w jego polityce wojennej.

Doświadczenie także wykazało, że system polityczny, który istniał w chwili wybuchu wojny, nie potrafił zmobilizować wszystkich sił narodu do walki z odwiecznym wrogiem. Jeżeli idzie o odczucia społeczne, to argumenty, wystarczające zupełnie dla opinii międzynarodowej, że w ostatniej chwili powstrzymano naszą mobilizację, że stan naszych zbrojeń nie był gorszy, a może znacznie lepszy niż innych państw, że zostaliśmy zaatakowani z dwóch stron, nie są usprawiedliwieniem w oczach narodu.

W sierpniu 1939 r. masy polskie były przekonane, że byliśmy w stanie stawić opór Niemcom. Argumenty, przemawiające do męstwa stanu, nie przemawiały do duszy narodu. W owym momencie totalna mobilizacja, taka jak ją przeprowadzili Anglicy czy Niemcy, spotkałaby się z najwyższym entuzjazmem społeczeństwa. I stąd płynie pozornie paradoksalna konkluzja, że pragniemy innego ustroju, innego systemu politycznego niż przed wrześniem 1939 r., bo chcemy być silniejsi.

Ponieważ jednocześnie panuje powszechne przekonanie, że ustroj, który zawiódł we wrześniu, nie był ustrojem demokratycznym, ludzie poprostu chcą przeciwności tego, co było. Jest w tym pragnieniu zmiany chęć przeniesienia z tego, co było, jednego tylko urzędnika w przyszłość. Idzie tu o te postanowienia Konstytucji Kwietniowej, które zapewniły nam możliwość kontynuacji legalnego Rządu R. P. poza obrębem państwa. Jak ważne jest to w obecnej sytuacji, nie można tego dość podkreślać.

II

Reformą chcą jedni objąć wyłącznie ordynację wyborczą, drudzy także i obowiązującą konstytucję. Zagadnienie zmiany ordynacji wyborczej jest także sprawą zasadniczą. Decyduje bowiem ona o tym, jaki skład mając ciału parlamentarne. Niezależnie od tego, jaką rolę wyznacza konstytucja, przy dobrze zorganizowanym społeczeństwie i istnieniu w parlamencie ugrupowań, mających z nim ścisły kontakt, rola ich musi być zawsze bardzo duża.

Jeżeli powszechnie panuje pragnienie ustroju demokratycznego, poto by państwo było silniejsze, to trzeba się zastanowić, czy można tę siłę osiągnąć właśnie w demokratycznym ustroju. Otóż demokracja nie oznacza, że władza, przyznawana organom państwa, musi być mała i słaba, a wykonywanie jej niesprężyste i niecelowe. Demokracja polega na kontroli społecznej. Na wykonywaniu władzy przez ludzi, na których społeczeństwo się zgodziło. W Stanach Zjednoczonych ludzie tego typu co Lincoln, Wilson czy Roosevelt, mają władzę większą i mniej ograniczoną niż dyktatorzy niejednych krajów, właśnie dlatego że na nich społeczeństwo się zgodziło. Właśnie dlatego ludzie ci nie są dyktatorami, tak samo jak nie jest dyktatorem Winston Churchill.

Gdyby można upewnić się, że ludzie powołani do władzy będą zawsze o tę zgodę społeczeństwa dbali, wówczas problem konstytucji nie istniałby. Ponieważ jednak nie jest to pewne i człowiek, piastujący władzę, jest skłonny do jej nadużycia, potrzebna jest konstytucja.

III

Zanim przystąpimy do rozpatrzenia zasadniczych problemów, które leżą u podstawy każdego ustroju, trzeba uzgodnić założenia, które muszą przyświecać tej pracy, jaką będzie reforma ustroju. Idea konstytucji związała się z prawami jednostki. Filozofia Deklaracji Praw Człowieka straciła być może znaczenie tak pełne, jak to, które miała w momencie powstawania. Trudno jednak wogóle podejmować dyskusję i rozważać sprawę nie w oparciu o teorię praw naturalnych człowieka. Inne podejście zawsze musi prowadzić do bezprawia. I z tego punktu widze-

sędzią będzie ogólna administracja państwa. Czy pan starosta w ten sposób nie zechce czasem utracić działacza opozycji, który ma nieco inny pogląd na to, co jest korzystne dla państwa, niż aktualny rząd, i czy to będzie dobre dla spraw ogólnych, — oto pytanie. A właśnie pan starosta, stawiając wniosek na oznaczenia i order, może nadawać także i prawa wpływów na sprawy publiczne.

IV

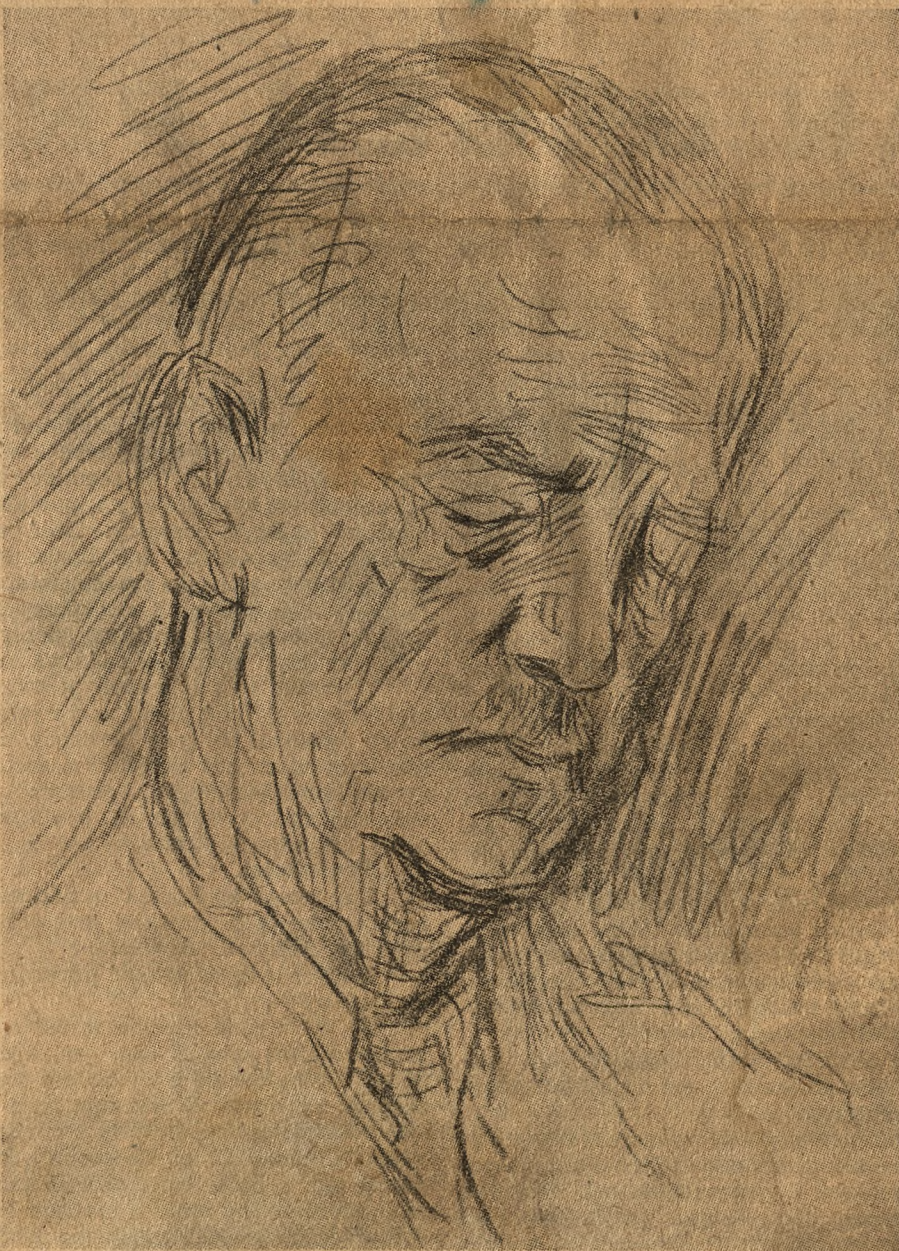
Są trzy zasadnicze problemy, których właściwe rozwiązanie zapewni dobre funkcjonowanie ustroju państwowego. Oto one: władza, kontrola i odpowiedzialność. Wszystkie one są ściśle ze sobą związane i bez harmonijnego rozwiązania wszystkich trzech nie uzyska się równowagi, która winna cechować ustroj państwowy.

Zródłem wszelkiej władzy państwowej jest wola narodu. Zgoda na to, że Państwo Polskie, jak chce Konstytucja Kwietniowa,

W numerze:

K. Grzybowski: Reforma ustroju. — Po zgonie gen. Sikorskiego. — A. Mrowiec: „Mordplan gegen Preussen...“ — H. C. Holme: Nowa Wielka Brytania. Wrażenia człowieka, który był gościem w swojej ojczyźnie. — W. Steed: Przedmowa do polskiego wydania „Złotego człowieka“. — A. Szymański: Przygotowania Niemiec do wojny z Polską. — kg.: Patologia polityczna. — G. Herling-Grudziński: List do młodego poety. — M. Makowski: Urlop w Ruwenzori. Polscy taternicy w Ugandzie. — W. Domański: Handlarz cienia. — Z. Broncel: Malarstwo ruchome? Na marginesie „Fantazji Walta Dismey'a“. — Cuda aluminiowe. — D. Szerbiec: Opinie angielskie. — Z. Milewski: Nocny lot. — jk.: 1812—1943. — P. Apenszlak: Wspomnienie o Januszu Korczaku. — J. Lohodowski: Moja Lubelszczyna. — Z prasy obcej. — ik.: Pamięci prof. Sosnowskiego. — wb.: Z literatury ekonomicznej. — List do Redakcji.

PO ZGONIE GEN. SIKORSKIEGO



Ś. P. GENERAL WŁADYSŁAW SIKORSKI
Rysunek Feliksa Topolskiego

nia postanowienia art. 7 p. 1 Konstytucji Kwietniowej, że: „wartością wysiłku i zasług obywatela na rzecz dobra powszechnego mierzone będą jego uprawnienia do wpływania na sprawy publiczne“, są błędem. Wiemy, jak w praktyce postanowienie to zostało wyinterpretowane i zrealizowane w ordynacji wyborczej. Elitaryzm jest faktem biologicznym. Ludzie lepsi i mądrzejsi, odważniejsi i szlachetniejsi mają większy wpływ, a przynajmniej powinni go posiadać, na życie publiczne i społeczne w każdej jego formie. Ale gwarantowanie tego przepisem prawnym jest aktem niezdrowym, a tak, jak to ujęte jest w Konstytucji, pozostawia szerokie pole do nadużyć i pogłębia i tak już istniejącą przepaść między grupą rządzącą a rządzoną.

Ujęcie to zawiera ponadto jeden bardzo niebezpieczny element. Ustanawia ono nagrodę za pracę dla państwa w formie wpływu na bieg spraw publicznych. Należy się obawiać, że wyłącznym, a niekoniecznie najlepszym

jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli, którzy stanowią przecież naród. Nie jest jednak logicznym wnioskiem stąd, że w osobie jednego obywatela ma się skupiać jednolita i niepodzielna władza państwowa. Jasne jest, że Prezydent R. P. nie może wykonać wszystkich funkcji państwowych i że pomagają mu w tym inne organy. Konstytucja, stawiając ogólną tezę w rozdziale pierwszym o niepodzielności i jednolitości władzy, w drugim rozdziale bardzo poważnie ją ogranicza i dzieli. Stwarza dwa rodzaje aktów prawnych Prezydenta. Jedne z nich są prerogatywami i nie są kontrolowane przez nikogo. Inne natomiast, wyliczone w art. 12, wymagają kontrasygnaty ministerialnej.

Wedle postanowienia art. 11. Prezydent R. P., jako czynnik nadrzędny w państwie, harmonizuje działania naczelných organów państwowych. Harmonizować — znaczy likwidować czy to autorytetem, czy też środkami prawnymi, pozostającymi do jego dyspozycji,

konflikty między władzami naczelnymi państwa. Gdy np. powstanie konflikt między członkami Rządu albo pomiędzy Rządem a naczelnymi władzami wojskowymi, wówczas takie harmonizowanie może mieć miejsce. Trudno natomiast wyobrazić sobie, jak to ma wyglądać, gdy istnieje konflikt między Rządem a Sejmem lub Senatem. Na tym jednak się sprawa nie kończy. Konstytucja bowiem podciąga pod pojęcie naczelných władz i sądy. Między nimi są przecież sądy, których celem jest kontrolowanie czy to administracji państwowej, czy też pociąganie do odpowiedzialności członków Rządu. Czy Prezydent R. P. ma interweniować także i w wypadku, gdy np. Rząd niezadowolony jest z wyroku, gdy buntu Stanu, Sądu Najwyższego czy Najwyższego Trybunału Administracyjnego? Zdaje się, że tak, gdyż w art. 13. Konstytucja daje mu prerogatywę powoływania i odwoływania Prezesa Sądu Najwyższego i członków Trybunału Stanu. To znaczy, że gdy Prezydent R. P. nie będzie zadowolony z działalności Sądu Najwyższego czy Trybunału Stanu, może wpływać na ich skład. A to już jest wyraźnie sprzeczne z zasadą niezawisłości sądów, którą przecież Konstytucja uznaje.

Już to choćby wskazuje, jak nie po prawniczemu zostały uregulowane kompetencje tego kluczowego czynnika w państwie. Jakkolwiek Prezydent R. P. ma dużą władzę, którą ma wykonywać w interesie państwa, to jednak „odpowiada tylko wobec Boga i historii“ za swoje akty państwowe, to znaczy, że nie odpowiada wogóle przed nikim. Władza Prezydenta zatem ma niepewny zakres, przepisy, do niej odnoszące się, są sprzeczne i gdyby chciał przestrzegać litery prawa, Prezydent poza najbardziej prymitywnymi aktami państwowymi żadnych czynności przedsiębiorć nie może, a w każdym razie nie może wykonywać niepodzielnej i jednolitej władzy, jak tego chce dekalog.

Konstytucja jest źle zredagowana. Twórcy jej na wstępie umieścili w t. zw. dekalogu szereg ogólnych przepisów, których rozwinięciem miały być postanowienia dalszych rozdziałów. Na przykładzie Prezydenta R. P. wiadać, jak to w praktyce wypadło. Porządna robota prawnicza polega na tym, by tak ułożyć przepis, aby praktyczne wyniki były realizacją zawartą w nim zasady ogólnej, a nie na odwrót.

V

W systemie Konstytucji Kwietniowej problem władzy zorganizowany jest źle z dwu powodów. Granice jej są oznaczone niewyraźnie, a osoba, która ją wykonuje, jest nieodpowiedzialna. Tymczasem w nowoczesnym państwie obowiązuje odpowiedzialność za wykonywanie władzy. Jakkolwiek Państwo Polskie „jest dobrem wszystkich obywateli“, to w Konstytucji uczyniono wszystko, ażeby odzielić wybór Prezydenta od narodu i możliwie jak najbardziej uniezależnić go od woli kraju. Obowiązuje wybór głosowaniem powszechnym. Ale kandydatów na głosowanie powszechne przedstawiają po jednym Zgromadzenie Elektorów i Prezydent ustępujący, a w razie gdy oba czynniki zgodzą się na jednego kandydata, kandydat Zgromadzenia Elektorów staje się Prezydentem. Wyobraźmy sobie obecnie, że kilka razy pod rząd dojdzie do kompromisu między Zgromadzeniem Elektorów a Prezydentem. Samo głosowanie zresztą odbywa się nad narzuconymi narodowi kandydatami i wybór narodu jest ogromnie ograniczony. Jeżeli się rozpatrzy te wszystkie elementy, wady redakcyjne Konstytucji, ograniczenie władzy Rządu wskutek tego, że Rząd w wysokim stopniu podlega Prezydentowi, oraz oddzielenie najważniejszego czynnika w państwie od woli narodu, to należy dojść do przekonania, że władza wykonawcza została w Konstytucji osłabiona.

I tutaj leży sedno problemu. Tradycją naszą jest poszukiwanie sposobu wzmocnienia władzy. Zamiast iść drogą normalną, wskazaną jedynym bodaj doświadczeniem, jakie posiadamy, Konstytucją 3-go Maja, zbaczamy w boczną, niezgodną z logiką drogę. Ustroj stworzony, quasi monarchiczny, pozbawiony oparcia i autorytetu narodu. Tylko w takiej atmosferze, by poprzec słowa przykładem, można było okólnikiem premiera wprowadzić obok osoby Prezydenta drugi hierarchicznie najwyższy czynnik w osobie Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. W praktyce było to

zmianą Konstytucji. Konkurencja między Zamkiem a Inspektoratem nie dała się ukryć. Już wkrótce było wiadomo, który minister był popierany przez Inspektorat, a który przez Zamek. Gdyby wyznaczanie osoby, stojącej na czele państwa i odpowiedzialnej za wykonywanie władzy, było dokonywane w drodze głosowania powszechnego, przy czym kandydaci pochodziliby z prawdziwie narodowego wyboru, tego rodzaju posunięcie byłoby niemożliwe. Jeżeli stosunki polskie wymagają istnienia urzędu i osoby, uosabiającej państwo i zapewniającej ciągłość myśli państwowej bez wciągania jej w wir walk politycznych, wówczas trzeba powrócić do systemu Konstytucji Marcowej. Jeżeli natomiast idzie nam w pierwszym rzędzie o silną władzę, gdzie Prezydent z powszechnego wyboru stoi na czele Rządu, mając poparcie narodu, należałoby zalecić system amerykański ze wszystkimi jego konsekwencjami. System ten gwarantowałby istnienie rządu silnego, nie ulegającego łatwo fluktuacjom.

Konsekwencją tego systemu byłoby to, że zjawizy się w konstytucji naród, będący źródłem wszelkiej władzy i podstawą mocy maszyny państwowej, naród, który tak troskliwie został pominięty w postanowieniach Konstytucji Kwieciowej.

VI

Im silniejsza, im bardziej sprężysta władza wykonawcza, tym sprawniejsza i pełniejsza kontrola. Konstytucja Kwieciowa poszła po linii osłabienia władzy ustawodawczej, przekazując część tej władzy Prezydentowi i ograniczając kompetencje ciał parlamentarnych w zakresie wykonywania kontroli. Specjalnie drastyczne są tu ograniczenia w zakresie ustąpienia Rządu lub ministra, możności rozwiązania Sejmu i Senatu przez Prezydenta R. P. przed upływem kadencji na zasadzie prerogatywy, t. zn. bez odpowiedzialności i bez kontroli, ograniczenia, wynikające z rozdziału 7. o budżecie.

Istotą jednak problemu, jeżeli idzie o funkcjonowanie ciał ustawodawczych, tkwi w ordynacji wyborczej. Rzeczywisty bowiem wpływ ciał ustawodawczych na bieg spraw państwowych zależy w dużej mierze od poparcia, jakim ich działalność cieszy się w społeczeństwie. Źródłem władzy jest naród i źród-

łem kontroli jest naród i w jego imieniu jest ona wykonywana. I dlatego właśnie konieczne jest jak najściślej związać ciał ustawodawczych z narodem.

Siła państwa, która w tej chwili jest pragnieniem wszystkich obywateli w kraju i na emigracji, może być osiągnięta przez Rząd i ciała parlamentarne, stojące twardo na fundamentach społecznych, wykonywujących swe funkcje w ścisłym kontakcie z opinią publiczną. Konstytucja Kwieciowa, niestety, nie uwzględniła tego momentu. Główną uwagę skoncentrowała na mechanicznej stronie państwa, a wszystkie inne czynniki społeczne i gospodarcze potraktowała tylko z tego punktu widzenia. Odstępstwa wszelkie od tego stanowiska zawdzięczamy tylko temu, że rozdziały, następujące po dekalogu, zostały nie po prawicemu zrehabilitowane i nie są logiczną konsekwencją. Konieczne jest nadanie powagi i siły instytucjom ustroju państwowego przez związanie ich z żywymi siłami. Nie poszczególni ludzie, ale grupy społeczne je reprezentują.

VII

W polskim życiu politycznym i prawnym utrwaliło się przekonanie, że konstytucja jest przepisem ramowym, który ustanawia organizację władz państwowych i ustala hasło, w myśl którego ma się toczyć życie państwa. Nie ma jednak znaczenia konkretnej normy prawnej. Dla bytu jednak i porządku funkcjonowania władz państwowych Konstytucja jako całość musi być uważana za normę prawną, posiadającą bezpośredni wpływ nie tylko na funkcjonowanie organów państwowych, ale i na byt każdego człowieka. Konstytucja musi stwarzać prawa podmiotowe.

Tymczasem w praktyce zarówno orzecznictwo Sądu Najwyższego, jak i życie polityczne, hołdowały wprost przeciwniej opinii.

Prowadzi to do lekceważenia prawnej strony Konstytucji, a w praktyce do pozbawienia jej w ogóle znaczenia. Konstytucja jest ustawą i każde jej słowo ma znaczenie prawne, a prawo ma wtedy znaczenie, jeżeli można je zastosować. W państwach autorytatywnych, gdzie chodzi o stworzenie możliwie największej skali samowoli organów państwowych, konstytucje są redagowane niedbale,

zawierają niepotrzebnie szereg nie mówiących haseł i określeń, z którymi pierwszy lepszy sąd państwowy, powołany do stosowania prawa, nie wiedziałby, co robić. Niestety, trzeba powiedzieć, że niektóre z tych uwag odnoszą się także i do Konstytucji Kwieciowej.

Prawnicza redakcja Konstytucji Kwieciowej szwankuje. Zasady dekalogu nie zostały zrealizowane w postanowieniach szczegółowych, Konstytucja pełna jest sprzeczności. Ponadto szwankuje terminologia. Powyżej omówiono termin „harmonizować”. Drugim przykładem jest szereg określeń, użytych w Konstytucji dla ustalenia jakiegoś ogólnego interesu, wspólnej sprawy. Stawiając istnienie i rozwój państwa za cel ustroju, nie potrafili redaktorzy zastosować jednolitej terminologii. W artykule 1. jest mowa o tym, że państwo jest „wspólnym dobrem”. W artykule 2. (3.) Prezydent „dba o dobro państwa”. W artykule 4. (2.), w art. 5. (3), w art. 7. mowa o „dobru państwowym”. W artykule 9. Konstytucja nakłada na obywateli obowiązek współdziałania na rzecz dobra państwowego. W art. 10. mowa o celach państwa, wyrażonych w jego prawach. W art. 10., w formule przysięgi Prezydenta R. P., mowa o prawach zwierzchniczych, godności państwa, dobru państwa. W art. 39. poseł przysięga pracować na rzecz dobra państwa, troszczyć się o godność, zwartość i moc. Jak widać, pomieszanie terminologiczne ogromne. Czy dobro państwowe pokrywa się z celami państwa? Czy to, co stanowi prawo, zawsze jest celem państwa? Czy godność, moc, zwartość, cele państwa, dobro państwa i dobro publiczne nie oznaczają w praktyce tego samego? Jeżeli państwo jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli i mają oni raz indywidualnie, a drugi raz w ramach swego pokolenia pracować na jego rzecz, to poco mówić jeszcze o dobru państwowym? Wprowadzanie wielu pojęć i komplikowanie języka nie jest zaletą ustawy.

VIII

Sprawa podniesienia autorytetu prawnego Konstytucji posiada dla życia polskiego znaczenie zupełnie zasadnicze. W ciągu lat dwudziestu naszego niepodległego bytu mieliśmy przynajmniej cztery systemy konstytu-

cyjne, niektóre z nich zupełnie ze sobą sprzeczne. Okres prowizorium stał się czymś normalnym. Nie można dosyć podkreślić niebezpieczeństwa tego stanu rzeczy. By raz na zawsze zerwać z tym systemem, trzeba uzbudzić Konstytucję, którą uchwalił przyszły Polski Sejm, w cały arsenał środków, które uniemożliwiłyby te wszystkie procedury, jakie stosowano przy uchwaleniu Konstytucji Kwieciowej. Konstytucja ma być jasnym, wyraźnym aktem prawnym.

Są kraje szczęśliwe, których Konstytucja tworzy historię. Jest ich, niestety, bardzo niewiele. Stany Zjednoczone mają Konstytucję, opartą na filozofii, która tak wzięła się w umysły obywateli, że dzisiaj nie ma kwestii zmiany w znaczeniu formalnym konstytucji, co do istotnych jej punktów. Upływ czasu i zmiana stosunków przynosi jedynie odpowiadające duchowi czasu interpretacje poszczególnych jej przepisów. Nie będzie to chyba zbyt surową oceną naszego życia konstytucyjnego, jeżeli powiemy, że konstytucje polskie były konstytucjami momentów politycznych.

Wiadomo, jak wielką siłą jest tradycja. Nie urodziliśmy się jako państwo, jako naród, w Sali Zwierciadlanej Wersalu. I ci, którzy znają naszą historię, wiedzą o tym, że ustrój nasz można oprzeć nieomal na takich samych podstawach, równie historycznych, co podstawy życia politycznego Anglii. Wyzyskanie tej tradycji, tak wspaniale kontynuowanej następnie przez Konstytucję 3-go Maja, powinno być pierwszym zadaniem polityków, jeśli chcą oni stworzyć dzieło trwałe, szanowane nie tylko przez sądy, władze państwowe i obywateli, ale także i przez jego twórców. Konstytucja powinna być wyrazem ducha narodu i filozofii, narodowej drogiej, a nie grupy proroków, którzy później robią z nią, co im się podoba, narażając na szwank wszystkie wartości, jakie ona reprezentuje. Główny postulat nowego ustroju polskiego, uzyskanie większej siły państwowej, może być osiągnięty przez wzmocnienie organów rządzących państwem, bezpośrednie związanie ich z narodem, przez stworzenie urzędów, odpowiadających duchowi narodu i historii, i przez ściąganie prawniczą konstrukcję podstawowych przepisów ustrojowych.

ALFONS MROWIEC

„MORDPLAN GEGEN PREUSSEN”...

Nie ulega wątpliwości, że państwo pruskie powstało, a potem poczęło odgrywać w Europie, w wieku XXVIII i XIX, dominującą rolę głównie dzięki jasnej, przebiegłej i dalekowzrocznej polityce swych dyplomatów. Upadająca Polska daleka była od zrozumienia tendencji i celów dworu berlińskiego. W okresie swego najszlachetniejszego porywu ideowego, w czasie Sejmu Czteroletniego, Polska daje się nabrać na skierowany przeciwko Rosji sojusz zaczepno-odporny z Prusami, pociągając, by niedługo z ich strony otrzymać śmiertelne ciosy. Gdy Austria, Belgia, Hiszpania, Holandia i Anglia pod formą pierwszej koalicji mierzą się z Napoleonem, Prusy w pokoju bazylijskim (1795) sprzymierzają się z rewolucyjną Francją. Po kongresie zaś rzeszadzim, gdy do drugiej koalicji przeciwfrancuskiej przystępuje i Rosja, Prusy liczą na konkretne korzyści terytorialne, jakie mogą uzyskać w rozbijanej na drobne ksiąstewka przez Napoleona Rzeczpospolitą („Deputationshauptschluss”). Równocześnie jednak poczynają prowadzić politykę na dwie strony, umizgując się do Moskwy. W roku 1802 Fryderyk Wilhelm III, król pruski, wraz z uroczą królową Ludwiką wybiera się do Kłajpedy, by tam spotkać się osobiście z młodym, bo dwudziestoletnim nowym carem, Aleksandrem I. Gdy w następnym roku wojska francuskie wkroczyły do Hanoweru, łącąc tym samym pokój bazylijski, Prusy zwołują cały ciężar walki z Napoleonem na barki swych niedawnych sprzymierzeńców. Berlin nie deklaruje się po żadnej ze stron walczących.

W takich to warunkach na arenie polityki europejskiej pojawia się najwybitniejszy owego czasu polski polityk, który swym talentem dyplomatycznym, głębokim umysłem i pragnieniem odbudowy państwa polskiego mierzy się z chytrą i przebiegłą Berliną, poświęcając wszystkie swoje siły, by państwu pruskiemu, jako najgroźniejszemu wrogowi narodu polskiego, zadać śmiertelny cios. Był to książę Adam Czartoryski.

Gdy w 1801 r. na tron carski wstępuje młody, owiany prądami wolnościowymi Aleksander I, książę Adam, zaprzyjaźniony z nim, zostaje powołany na dwór jako doradca cara. Następnie obejmuje on w gabinecie Woroncowa kierownictwo rosyjskiej polityki zagranicznej. Od tej chwili ks. Adam, śmiertelny wróg Prus, dąży do przecięcia tradycyjnej rosyjskiej polityki proniemieckiej. Polityka ta wówczas miała w osobie cesarzowej-wdowy, Marii Teodorówny, będącej pod pełnym wpływem niemieckiego ambasadora, Goltza, zacietęgo i upartego zwolennika. Czartoryski staje się solą w oku dyplomacji pruskiej. Przeciwni niemu poczynają gorliwie pracować Lucchessini jako ambasador pruski w Paryżu.

Pod przewodnictwem i za inicjatywą Pitta Młodszego dochodzi do skutku trzecia koalicja. Fryderyk Wilhelm III w dalszym ciągu kroczy drogą polityki dwulicowej. Fakt

ten wyzyskuje ks. Adam, tworząc ów sławny plan zaatakowania i kompletnego rozbitcia państwa pruskiego. Zrezyt tego planu zasadza się na utworzeniu koalicji przeciwberlińskiej, w skład której wchodzi: Anglia, Austria i Rosja. Ta ostatnia ma odegrać w niej rolę czynnika decydującego. Armie rosyjskie mają uderzyć całą siłą ożre na Prusy, odbić wszystkie ziemie, zabrane w trzech rozbiorach. Terytorium dawnej Rzeczypospolitej, związane w jedną całość, ma znaleźć się pod berłem rosyjskim na zasadach autonomicznych.

Car Aleksander I stał się gorącym rzecznikiem planu ks. Adama. Niebawem plan zaczyna przybierać realne formy. W 1805 r. bowiem armia gen. Kutuzowa otrzymuje zadanie uderzenia na Warszawę, zajętą przez wojska pruskie, druga armia ma wkroczyć na ziemie Prus Wschodnich, dwie inne armie, mianowicie gen. Bennigsen i gen. Essen, mają w razie potrzeby wesprzeć oba natarcia.

W tymże samym roku, we wrześniu, Aleksander I wraz z głównym sztabem przybywa do Puław. Zamieszkuje w zamku rodziny ks. Czartoryskiego. W okresie tym wszczęte zostały pomyślnie zapowiadające się pertraktacje z Austrią, której supponowano odstąpienie Rosji Galicji w zamian za Górny Śląsk pruski. Do Puław też przybywają przedstawiciele i delegaci wszystkich ziem Rzeczypospolitej z adresami hołdowniczymi dla cara jako przyszłego króla polskiego.

Atak na Prusy miał nastąpić lada moment. Gotowe do walki armie rosyjskie czekały tylko na rozkazy.

Po raz pierwszy nad państwem Hohenzollernów zawisła groza zupełnej zagłady, niepoimnie większa i straszniejsza niż w wojnie siedmioletniej, kiedy klęski wojsk pruskich pod Kolin, Hochkirch czy Kunersdorf zostały przycmione nie tyle przez zwycięstwa Fryderyka Wielkiego pod Pragą, Rossbach, Leuthen czy Zorndorf, ile przez śmierć w 1762 r. „Semiramidy Północy” — głównego motoru antypruskiego.

W 1805 r. wiara Polaków w odbudowanie Rzeczypospolitej przez Napoleona nie posiadała cech realnych. Śrogi rozczarowanie spotkało legionistów Dąbrowskiego, gdy w pokoju Campo Formio w r. 1797 Napoleon ani jednym słówkiem nie wspominał o sprawie polskiej. Jeszcze srożej zawiedli się Polacy, gdy po bardzo krwawych walkach o Rzym, Neapol, po niezwykle zaciętych bojach z armią gen. Suworowa, w Lunewille, w r. 1801, Bonaparte ponownie zupełnym milczeniem zbył najgłębszą wiarę narodu polskiego. Wysłanie zaś rozgoryczonych legionistów na San Domingo do walki z tubylcami-murzynami do reszty pogrzebały polskie nadzieje i wiarę w szczytne roszczenia Napoleona. To też wydawała się realniejsza i coraz większą sympatię zyskiwała koncepcja ks. Adama Czartoryskiego zjednoczenia ziem rozdartych Rzeczypospolitej pod berłem rosyjskiego cara. Koncepcja ta posiadała głęb-

szę, jak mogłoby się wydawać, uzasadnienie. Dalekowzroczny bowiem umysł jej autora przewidywał, że w ten sposób ziemie polskie, zjednoczone, prędzej czy później będą zdolne usamodzielnic się zupełnie, tym bardziej, że główny wróg Polski, Prusy, zostaną powalone. Jest to bowiem prawo historyczne w odniesieniu do dwóch narodów, że wyżej stojący kulturalnie spośród nich dominuje nad słabszym. Jak z późniejszych wydarzeń wynika, plan Czartoryskiego, szczególnie w okresie przedkongresowym (1814 r.), przeniknął i wybitniejsi politycy rosyjscy. Dość wspomnieć takiego Rumiancewa, Sażykowa, czy Lopuchina, którzy doszli do przekonania, że w tych formach ustrojowych i politycznych Rzeczypospolita stanie się groźnym niebezpieczeństwem i wrogiem interesów państwa rosyjskiego.

W takich to warunkach polityczno-dyplomatycznych dojrzał plan Czartoryskiego, plan, który ówczesni politycy berlińscy, a późniejsi historycy niemieccy określali mianem „Czartoryskiego Mordplanu gegen Preussen” a samego zaś jego twórcę wybitnym, o silnym charakterze „Staatsmann'em”.

Tymczasem... Tuż przed wydaniem ostatecznej decyzji rozpoczęcia akcji zbrojnej przeciwko Prusom plan ks. Adama... odwołano!

Gdzie i w czym szukać przyczyn tak nagłej zmiany?

W pierwszym rzędzie w ostatniej chwili katastrofalnie zawiódł sam car, Aleksander I. Począł on wahać się z wydaniem ostatecznego rozkazu do walki. Z wahania tego nie omieszkał skorzystać zapalczywy zwolennik Fryderyka Wilhelma III, ks. Dołgorukij, który znajdował się u boku cara w Puławach. Berlin zaś, informowany stale o planach Rosji przez sprządnego posła rosyjskiego Alopeusa, zausznika wspomnianego księcia, prawie że w chwili, gdy wojna już wisiła na włosku... decyduje się nagle na wydanie proklamacji o przystąpieniu Prus do państw trzeciej koalicji antynapoleońskiej! W jednej godzinie runął plan ks. Adama. Kosztem opowiedzenia się Prus wrogiem Francji.

Przenikliwy kanclerz Prus, Hardenberg, natychmiast w słowach bardzo serdecznych prosi niedoszłego grabarza jego państwa o przybycie w odwiedziny do Berlina. Wypadki potoczyły się według życzeń rządu pruskiego: car za namową ks. Dołgorukiego odwołuje z

nad granicy pruskiej swe armie, a następnie decyduje się na podróż do stolicy pruskiej. Ironia losu chciała, że ks. Czartoryski przyjechał razem ze swym panującym. Hardenbergowi nie pozostało nic innego, jak uczynić wszystko, by z umysłu cara wybić resztki nieufności do Prus. Ba, zdobył się przy ówczesnych środkach propagandowych na zmontowanie niebываłego nastroju ludności berlińskiej. Po domach, w oknach wystawowych, naturalnie na rozkaz, umieszczano w mig fabrykowane popiersie cara, prasa tonęła w kadranych hymnach, ulotki rzucane tysiącami po ulicach miasta, — witały nowego „przyjaciela” Prus. Aby na dodatek uwiecznić pobyt cara w Berlinie, w jego obecności ochrzczono jeden z placów mianem „Alexanderplatz”.

Król pruski na spółkę z kanclerzem Hardenbergem postanowili do reszty odegrać rolę tragicomiczną: projektują oszołomionemu gościnności i wspaniałym przyjęciem Aleksandrowi I. zawarcie przymierza zaczepno-odpornego! Aleksander podpisuje tekst traktatu. Fryderyk Wilhelm III, o pomocy prowadzi Aleksandra do podziemi kościoła poczdamskiego, podpycha pod grobowiec Fryderyka II, wyciąga doń rękę, którą car ścisła, szepce słowa o braterstwie obu państw i dynastii...

Od tej chwili poczdamskiej upływają za ledwie cztery tygodnie. Napoleon Bonaparte na polach pod Austerlitz w puch rozgromia wojska trzeciej koalicji. Wtedy to Prusy, mimo ślubowania nad grobem fryderykowym, haniebnie zdradzają Aleksandra I, układając się na własną rękę ze zwycięzcą.

Po tym ciężkim doświadczeniu wierności pruskiej plan ks. Adama Czartoryskiego na nowo odżyje w polityce cara w latach walk dyplomatycznych 1814—1815.

WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH!

NA SEZON LETNI

poleca w wielkim wyborze mundury drelichowe i wełniane, szorty, koszule gotowe i na zamówienie, bieleżną trykotową, oraz wszelkie artykuły i galanterie wojskową a także ręcznie haftowane dystynkcje.

GUR-ARIEH

(Właśc. A. Gurman)

T E L - A V I V , ul. ALLENBY 83

Ekspedycja paczek do Rosji i innych krajów

SZWAJCARSKI DOM WYSYŁKOWY

EGO

Tel-Aviv, ul. Hess 1, róg Allenby 33
Jerozolima, R. Leibowich, ul. Ben Jehuda 2. Saansur Bldg.
Haifa, Dr Groshut, ul. Herzl 32 (Księgarnia)
Nathanya, M. Kuschlin, ul. Herbert Samuel, Dom Handlowy

H. C. HOLME

przełożyła z angielskiego MARIA KAGANOWA

NOWA WIELKA BRYTANIA

WRAŻENIA CZŁOWIEKA, KTÓRY BYŁ GOŚCIEM W SWOJEJ OJCZYZNIE.

Każdy, kto po długiej nieobecności powraca do swego rodzimego kraju, przede wszystkim szuka rzeczy, o których pamięta, że znajdowały się tam poprzednio. Radość jego wzrasta w miarę odnajdywania ich.

Tak działo się też i ze mną, gdy po czterech i pół latach pobytu na Środkowym Wschodzie powróciłem w sierpniu tego roku na krótko do Anglii. Opuściłem Anglię w r. 1939, w czasie gdy Hitler wkroczył do Pragi. Nie można powiedzieć, by szerokie masy Brytyjczyków zdawały wtedy sobie sprawę z nadciągającej zawieruchy wojennej, z tego, co ona im ze sobą przyniesie. W ciągu lat mej nieobecności przyszła wojna, rozpoczęła najazdem na Polskę; potem wojna „pozorna” na Zachodzie; potem Dunkierka i upadek Francji; potem zwycięska bitwa o Anglię; potem Blitz i Bitwa o Atlantyk; zwycięstwa i porażki w Afryce; Pearl Harbour i Singapore; w końcu oczyszczenie Afryki z sił Osi i przechylenie się szal wojny powietrznej na niekorzyść Niemców. To wszystko i wiele jeszcze innych rzeczy zdarzyło się w ciągu tych lat. Mogłem więc spodziewać się zmian. Tak też było; lecz te, które zastałem, bardzo odbiegały od tych, na jakie byłem przygotowany.

Wies angielska, wrosnięta jak gdyby w życie każdego Anglika, spokojne, przyjazne wzgórza, łąki i żywopłoty, lasy ze swymi wysokimi drzewami, wobec najmniejszego z których karłowaciły — w moich oczach — te, do jakich przywykliśmy tutaj, chaty kryte słomą czy dachówką, kościoły i solidne dworki wiejskie ze swymi parkami, dobrze utrzymanymi trawnikami i ogrodami, wiejskie rezydencje, uwieczniające w Anglii niemal ze wszystkie przeszłe wieki — od XI do XIX stulecia —, gdyż prawie wszędzie można znaleźć wzory architektury, które przetrwały w codziennym użytku nienaruszone od czasów, gdy zbudowano je po raz pierwszy dziesiątki i setki lat temu; błotniste ścieżki, łąny zbożowe, skąpane czasem w łagodnym słońcu, częściej jednak we mgle i deszczu — wszystko to zastałem bez zmian, tak jak i dawniej. Wciąż jeszcze można wóczyć się przez wies angielską, zającąc czarne jagody, orzechy laskowe, maliny, borówki i szereg innych owoców, rosnących dziko, które same wpadają w ręce. Rzeki i kanały przecinają spokojne pola, na których nieznane są szkodliwe owady, węże, dzikie zwierzęta, gdzie świat zwierzęcy reprezentują łabędzie, ptaki wodne i leśne, gdzie różnorodność motyli i ważek jest tak olbrzymia, że musi zwrócić uwagę każdego przybysza z krajów śródziemnomorskich. I to również zastałem tak, jak gdyby nic się nie zdarzyło.

Dopiero przy bliższej obserwacji można zauważyć olbrzymi wzrost ilości pól pod uprawą, mechanizację rolnictwa i obecność na każdym kroku — często dobrze ukrytych i niewidocznych aż do momentu bezpośredniego nakłonięcia się na nich — żołnierzy i wszelkiego rodzaju warsztatów wojskowych. Stąd wszystko zaś uderza przybysza z tych stron ciągła obecność samolotów na niebie. Nie pamiętam ani jednej chwili w czasie mego czterotygodniowego pobytu, czy to w dzień czy w nocy, w której nie mógłbym widzieć lub słyszeć samolotów nad głową. Każdy uczeń jest obecnie specjalistą w rozpoznawaniu ich konturów, każdy rozróżnia wszystkie prawie typy samolotów, nawet te, które dotąd są jeszcze na liście „tajemnic wojskowych”. Ale nie tylko uczeń, lecz także i jego dziadek, który trzy lub cztery razy tygodniowo przywodzi mundaż żołnierza Air Observer Corps i pełni obowiązek służby na posterunku obserwacyjnym, rejestrując każdy przelatujący w zasięgu jego przyrządów samolot, pomagając każdemu zbłąkanemu aparatowi. Gdyż dziś wszystkie nad naszymi głowami przelatujące samoloty są „nasze”: brytyjskie, amerykańskie, polskie czy sprzymierzone. Jedynie miasta na południowych i wschodnich wybrzeżach Anglii, do których uderzyć się można jedynie za specjalnym zezwoleniem, często widują samoloty niemieckie. Nadlatują one, niszczą kilka domów, zabijają i ranią ludzi w tych wypadkowych lotach. Porty na Kanale są nadto nieomal codziennie ostrzeliwane. Istnieje linia autobusowa, przebiegająca wzdłuż południowego wybrzeża w pobliżu Dover'u, na której od wybuchu wojny utraciło życie dwunastu żołnierzy; miejsca postoju na tej linii zmienia się codziennie, inaczej bowiem Niemcy wypatrują je z drugiej strony Kanalu i ostrzeliwiają.

Największe wrażenie wywołuje warkot motorów naszych bombowców, wyruszających nad Niemcy. O zmierzchu, co wieczór, olbrzymi łoskot napełnia niebo. W określeniu tym nie ma żadnej przesady. Nie można odróżnić dźwięku jakiegoś pojedynczego motoru w tym ciągłym, wielkim, monotonnym warkocie. W widne noce można zobaczyć te gigantyczne samoloty, lecące z wielką szybkością, lecz na takiej wysokości, że czynią wrażenie wolno poruszających się pomiędzy gwiazdami punktów. Podczas nocy „wielkich nalotów” groźne te dźwięki słychać bez przerwy przez półtora do dwóch godzin. Straszne robi to wrażenie, na wrogu napewno jeszcze silniejsze, bo wielokrotnie przeraziłem.

Zaczeliśmy już spostrzegać różnice pomiędzy Anglią dawną a dzisiejszą, i gdy od-

wiedzący Londyn lub miasta prowincjonalne, czeka nas to samo doświadczenie: znajdziemy wiele z tego, co było, ale wiele też rzeczy nowych. Zewnętrznie Londyn — nie przychodzi mi na myśl inne określenie — jest wesoły i ożywiony. Tłumy na ulicach, autobusy i kolej podziemna w ciągłym ruchu, a mnogość i różnorodność mundurów dodaje barw, które dla oka przynajmniej są miłe. Do braku światła w nocy jesteśmy przyzwyczajeni i tu, w Palestynie. Mimo że neony znikły z Picadilly, słynna stacja kolei wciąż jeszcze jest podziemnym ośrodkiem oślepiającego światła, barw i ruchu.

Te sklepy, których nie zniszczono — a jest ich wiele — są, jak się wydaje, pełne towarów, wystawy ich są zachęcające, i dopiero gdy się chce poczynić zakupy, widzi się różnice. Licznych przedmiotów powszechnego użytku, jak zegarków, wiecznych piór, zapalek, żyłetek nie ma wcale; na inne trzeba mieć kupony lub punkty, są zaś i takie przedmioty, które nabyć można jedynie będąc ustawicznie na czatach, gdyż są rozchwytywane natychmiast po nadejściu nowego transportu. Jeśli o żywność chodzi, dość powiedzieć, że zajęła ona w codziennych rozmowach miejsce „pogody”, niemal każdy jednak otrzymuje dostateczną jej ilość. Zaostrzenie zorganizowane jest wspólnie. W kolejce czeka się jedynie na nieracjonalizowane „luksusy”, takie jak ryba, czy stół w restauracji, gdzie posiłki nie są racjonalizowane, lecz gdzie brak kelnerów, a dostawy produktów podlegają surowym ograniczeniom. Jeśli kto nie lubi angielskiego piwa „ale”, to musi obejść się całkowicie bez napojów alkoholowych, gdyż w praktyce jest to jedyny trunk, jaki można dostać. Niektóre z bardziej uprzywilejowanych barów mają jeszcze zapas whisky. Jednak nigdzie już nie można zdobyć butelki whisky czy ginu.

Obecnie zbliżamy się do naprawdę zasadniczej zmiany, jaka zaszła w życiu Anglii, zmiany, z której nie wszyscy Anglicy zdają sobie sprawę. Jest to przewrót społeczny spowodowany, moim zdaniem, totalną mobilizacją ludności. Nie mam na myśli mobilizacji wojskowej jedynie, lecz totalną mobilizację, obejmującą wszystkie warstwy społeczne i zawo-

dy, docierającą do wszystkich zakątków życia codziennego. Każdy obywatel w wieku od 18 do 55 lat, mężczyzna czy kobieta, z wykształceniem czy bez, czy był biedny czy bogaty przed wojną, stoi obecnie całkowicie do dyspozycji państwa. Wszystkich można kierować do każdego zajęcia w każdej części Anglii; czy to do szeregów, do przemysłu wojennego, biura czy też kopalni węgla. Jak sam zaobserwowałem, mobilizację tę przeprowadzono bezwzględnie. Znaczy to, że całą inną pracę w Wielkiej Brytanii — tych sto i jeden zawodów, nie związanych z wysiłkiem wojennym — w których państwo nie jest zainteresowane, ale które nie mniej niezbędne są do życia, wykonać muszą ludzie powyżej 55 lat lub dzieci poniżej 18 lat. Z ogółu ludności brytyjskiej 25 milionów zmobilizowano do wysiłku wojennego, podczas gdy wszystko inne wykonać musi pozostałe 15 milionów dzieci, inwalidów i matek, obarczonych dużymi rodzinami. A te „inne prace” obejmują gospodarstwo, ogrodnictwo, reparację rzeczy takich, jak zegarki, czy naczynia, kuchenne, usługę w restauracjach, hotelach czy sklepach i t. d.

Revolucja, jaką wywołało to w codziennym życiu każdego człowieka, jest zadziwiająca. Służba domowa właściwie znikła. Różnice między bogatym a biednym zatarły się w wysokiej mierze. Nawet gdyby skarb państwa pozwolił komuś na posiadanie dużego dochodu, — czego nie uczyni, — nie mógłby on i tak użyć tych pieniędzy na opłacenie służby domowej, na kupno większej niż kto inny ilości jedzenia i nafty, na posiadanie samochodu, czy też na zarezerwowanie sobie miejsca w przedziale pierwszej klasy, skoro i tak wszystkie miejsca we wszystkich przedziałach zajmowane są bez względu na to, jaki bilet kto posiada. Nie mógłby też wziąć wieczorem takśówki, bo nie ma ich na ulicach, czy też kupować artykuły zbytku, skoro nie wyrabia się ich już nigdzie w Anglii.

Gdy ktoś skończył swój dzień pracy w fabryce czy biurze — a długi to dzień, przekraczający 60 godzin tygodniowo — nie kończy się na tym jego służba państwa. Jeżeli nie jest ochotnikiem Home Guard'u, to zapewne znajduje się w szeregach służby przeciwpo-

żarowej. Skoro w czasie alarmu musi wstać z łóżka i część nocy spędzić na pełnieniu służby, nie znaczy to wcale, by mógł następnego dnia spóźnić się do pracy. To, że ktoś jest za stary lub za młody i nie podlega mobilizacji, nie oznacza wcale, by nie pełnił on jakiejś pracy, bezpośrednio związanej z wysiłkiem wojennym. Szereg służb, niektóre z nich bardzo wyczerpujące, pełnią wyłącznie ochotnicy w tych granicach wieku. Istnieje kadetki korpus lotniczy dla chłopców poniżej lat 18, Air Observer Corps, Home Guard i Women's Volunteer Service dla ludzi powyżej lat 55, i wiele innych.

W rezultacie każdy z konieczności, a także z powszechnego poczucia obowiązku, stara się żyć jak najskromniej. Ludzie zajmują możliwe najniższe mieszkania i domy, prac domowe wykonują wszyscy bez wyjątku, kobiety i mężczyźni, większość ludzi zaś jada w kuchni.

Udział kobiet w tym wszystkim jest zadziwiający. Można je znaleźć w każdym rodzaju służby, w każdym kasynie oficerskim, na równi z mężczyznami, obsługujące i strzegące samolotów RAF'u, wykonyujące prace, wymagające wysokich kwalifikacji, w armii, marynarce, w fabrykach i na odpowiedzialnych stanowiskach w biurach. Dziś w Anglii, zgłaszając zapotrzebowanie na personel odnosnym wiadom, nie można wybierać mężczyzny czy kobiety, trzeba brać, kogo przydzieli, bez względu na płeć. Personel jednej wielkiej fabryki samolotów, którą zwiedziłem, w 70% stanowiły kobiety.

Nie trzeba mieć zbyt żywej wyobraźni, by sobie przedstawić, jakie zmiany wszystko to spowodowało w życiu rodzinnym i społecznym. Nie zważam się przed twierdzeniem, że ta totalna mobilizacja siły ludzkiej wpłynęła w ruch jeden z najbardziej niewulgacyjnych procesów, jakie zna świat. I tylko konserwatyzm angielski sprawia, że różnice klasowe, maniere, sposób życia i zewnętrzne pozory zostały w wysokim stopniu zachowane. Nie posiadają one jednak już więcej uzasadnienia ekonomicznego.

Innym rysem charakterystycznym dla życia obecnej Anglii jest olbrzymi wzrost działalności kulturalnej. Teatry, kina, przedstawienia baletowe, sale koncertowe, wystawy sztuki przepelnione są po brzegi. Nowe książki, nowe płyty gramofonowe, choć w bardzo ograniczonych nakładach, ukazują się jednak stale. Wyprowadzane są natychmiast po ukazaniu się. Wystawa brytyjskich malarzy wojennych w National Gallery otwarta jest niemal bez przerwy. Zawiera ona wszystko to, co najlepsze i najnowocześniejsze w malarstwie angielskim. Władze, dysponujące siłą ludzką i dostawami, okazały się dość rozsądne, by zrozumieć, że działalność ta jest poważną częścią naszego wysiłku wojennego, i uczyniły wszystko, co było w ich mocy, by działalności tej dopomóc.

Kulturalne uświadczenie przebiega z życia codziennego, i wydaje się, że ludzie skłonni są wydawać pieniądze raczej na teatr, niż na jedzenie lub ubranie.

Ogromne również jest zainteresowanie przyszłością. Rzecz można np., iż Plan Beveridge'a przeniknął do świadomości całego narodu brytyjskiego. Ogłoszono „Białą Księgę” w sprawie nauczania, która w dużym stopniu zaspokaja żądania postępowych elementów wszystkich klas, poza skrajną lewicą. Plan Rady Hrabstwa Londyńskiego, dotyczący odbudowy Londynu, opublikowano w formie pięknie wydanej, ilustrowanej książki. Książka ta w cenie 12s. 6d., była rozchwytywana. Plan ten jest rewolucyjny, pociągający za sobą poważne ingerencje w prawa właścicieli prywatnych.

Nade wszystko jednak właśnie duchowa strona życia Anglii największe wywiera wrażenie na przybyszu ze Środkowego Wschodu. Nie można uchronić się przed wrażeniem wspólnego wysiłku i wspólnoty społecznej, która przenika zarówno ulicę londyńską, jak i wieś. W czasie całego mego pobytu w Anglii nie zauważyłem, by ktoś popchnął lub wyprzedził kogoś drugiego, czekając w kolejce na autobus. Ludzie zbaczają z drogi, by przy każdej nadarzającej się sposobności okazać uprzejmość innym. Nie jest to uprzejmość wymuszona, nie jest nawet może świadoma, zrodziła się ona z poczucia wspólnoty. Nie w modzie jest dziś w Anglii elegancki wygląd. Nie liczone tylko młode kobiety noszą kapelusze lub są specjalnie wypielęgnowane. Starają się wyglądać schludnie... i to wszystko. Mężczyźni ubrani są przyzwoicie, przeważnie jednak w przedwojenne ubrania. Pomoc i informacje dla cudzoziemców — zarówno oficjalne jak i prywatne — znajdujemy na każdym kroku. Liczni urzędnicy, zajmujący się rozdziałem żywności i rejestracją do służby narodowej, są niezmiennie uprzejmi, sprawy załatwiają szybko.

Wszystkie te zjawiska wywołują wrażenie moralnego, wewnętrznego zadowolenia, które przewyższa wszystkie niewygody i braki, a przede wszystkim powszechne uczucie ciągłego zmęczenia, spowodowane tak bardzo intensywnym życiem.

Jest to coś, co — mam mocną nadzieję — przetrwa i wojnę.

WICKHAM STEED

Przedmowa do polskiego wydania „Złego człowieka”

Nakładem wydawnictwa „W Drodze” ukazuje się w ciągu najbliższych dwu miesięcy polski przekład głośnej już dziś książki o Hitlerze Wickhama Steeda „This Bad Man”. Poniżej ogłoszamy przedmowę Steeda, napisaną specjalnie dla polskiego wydania.

Autor jej, Henry Wickham Steed, jest czołową postacią w starszym pokoleniu dziennikarzy angielskich. Był on redaktorem „Review of Reviews”, korespondentem „Times’a” w Berlinie, Rzymie i Wiedniu, od r. 1914 — redaktorem działu zagranicznego, a potem redaktorem naczelnym „Times’a”.

Jest też Steed autorem szeregu znanych książek na tematy polityczne, że wymienimy tylko najważniejsze: „Hapsburg Monarchy” (1913), „L'Angleterre et la guerre” (1915), „Through Thirty Years” (1924) i „Journalism” (1928).

Być może, że czytelnicy tej niewielkiej książki chcieliby wiedzieć, jak doszło do jej napisania i dlaczego nadałem jej formę rozmowy z dwoma małymi chłopcami. Opowiem im o tym.

Przed dziesięć lat, gdy w Lozannie, w Szwajcarii, miała się odbyć międzynarodowa Konferencja, aby zdecydować, w jaki sposób Niemcy mają spłacić „reparacje” za szkody, które jej armie wyrządziły w czasie Wielkiej Wojny, jeden z dzienników angielskich zwrócił się do mnie z prośbą o wytułnienie w bardzo przystępnej formie czytelnikom tego pisma, co to właściwie są te „reparacje”. Wyobraziłem sobie wtedy, że mam wykład o „reparacjach” w szkole powszechnej i starałem się go ująć krótko i przystępnie. Szybko przekonałem się, że nie było to wcale łatwe. Po długich godzinach pracy rzecz była jednak gotowa i dziennik zamieścił mój artykuł.

Wkrótce potem dowiedziałem się, że mój „wykład” odczytano we wszystkich szkołach powszechnych północnej dzielnicy Londynu i że dzieci rozumiały wszystko. Nieco później redaktor tego dziennika powiedział mi, że wielu członków Parlamentu, dyplomatów i kupców napisało do niego z podziękowaniem za ogłoszenie tego artykułu listy, w których twierdziły, że po raz pierwszy zyskali jasne pojęcie o tym, co „reparacje” znaczą. Nasunęło mi to myśl, że my, dziennikarze i pisarze, często popełniamy błąd, sądząc, że to, co nam wydaje się proste, jest proste i dla innych. Mając zbyt mało czasu na to, by pisać prostym, jasnym językiem, używamy pewnego rodzaju żargonu, pełnego długich słów i zdań, które czytelnicy nasi z trudem rozumieją.

Po pewnym czasie odwiedził mnie człowiek, który znalazł sposób pisania po angielsku w 800 prostych słowach — co nazywa się „Basic English”. Powiedział mi, że uderzyło go podobieństwo mego „wykładu” o reparacjach i innych moich artykułów, pisanych tym samym stylem, co jego „Basic English”. Chciał wydać tomik moich artykułów, przy czym na jednej stronie umieszczony miał być mój tekst, na drugiej zaś wersja w „Basic English”. Zezwoliłem na to i tomik ten ukazał się.

Po aneksji Austrii w marcu 1938 i zajęciu Czechosłowacji w rok później wielu Austriaków i Czechów schroniło się do Anglii. Jeden z nich, ożeniony z Polką i władający równie biegle polskim, rosyjskim, francuskim i niemieckim, powiedział mi, że bardzo trudno przychodzi mu nauka języka angielskiego. Poprosił mnie o jakąś łatwą książkę angielską, którą mógłby czytać. Pożyczyłem mu tomik, zawierający moje artykuły i wersję w „Basic English”.

Po przeczytaniu tej książeczki zaczął mnie namawiać do napisania takim samym stylem całej historii Hitlera i narodowego socjalizmu. Pamiętając, ile mnie kosztowało napisanie tych prostych artykułów, sądziłem, że nie znajdę na to czasu. Ale mój gość twierdził, że będzie to bardzo ważne, by po wojnie młodzi Niemcy, a także i inni, poznali prawdę o Hitlerze. Przyrzekł mi przełożyć na niemiecki to, co napiszę.

Trudność polegała na znalezieniu punktu wyjścia. Wtedy przypomniałem sobie, jak żona moja skarciła swych małych, przybranych synków za „bombardowanie szpitala”. Starszy chłopiec był kiedyś w Polsce wraz ze swą „Mumy”, która kochała Polskę i Polaków i która napisała jedną z najlepszych angielskich książek o tym kraju. Nazywa się ona „Kraj tęczy” i napisana jest pod jej pseudonimem nazwiskiem Violet Mason.

W ten sposób książka przybrała postać pogawędki z chłopcami. Przeznaczona jest ona dla tych wszystkich, którzy są młodzi duchem.

Egzemplarz jej dałem pewnemu bardzo uczonemu człowiekowi, który pomimo swoich 75 lat zachował umysł młodzieńczy. Dziękując mi za nią, napisał: „Oto jak należy pisać książki. Dam egzemplarz tej książki kilku młodym ludziom w moim wieku, którzy wtedy zrozumieją, jaki zły jest Hitler i jakim przekleństwem dla Europy i całego świata stał się nazizm”.

Tak więc jestem szczęśliwy, że napisałem tę książkę. I jeżeli żołnierze Wojsk Polskich na Wschodzie znajdą przyjemność w jej lekturze, moja przyjemność będzie równie wielka jak i ich.

Londyn, 20 lipca 1943 r.

ADAM SZYMAŃSKI

PRZYGOTOWANIA NIEMIEC DO WOJNY Z POLSKĄ*)

Plan wojenny niemiecki

Plan wojenny niemiecki przeciwko Polsce został z dawien dawna opracowany, najprawdopodobniej jeszcze za generała von Seeckta, organizatora i wychowawcy wojsk niemieckich w okresie 1920 — 1926 r. Na tak dawne przygotowania wojenne Niemcy mamy najlepsze dowody w terenie. Zaraz od roku 1920 Niemcy gwałtownie fortyfikowali całe pogranicze Polski, przygotowywali bazy zaopatrzeniowe w rejonach koncentracyjnych armii. Działania wojenne przeciwko Polsce były zgrane z ówczesnym naczelnym dowództwem wojsk sowieckich za czasów marszałka Tuchaczewskiego. Wspomnę tylko o udziale tego marszałka ze swym sztabem w niemieckich manewrach pod Frankfurtem nad Odrą 1932 r., oraz o prawie stałych w owym czasie pobytach najwyższych oficerów niemieckich w Rosji.

Plany wojenne niemieckie przeciwko Polsce były stale aktualizowane, zwłaszcza po 21 maja 1935 r., kiedy Rzesza zrzuciła z siebie wszelkie zobowiązania wojskowe Traktatu Wersalskiego, przystąpiła do formowania 1/3 całego stanu wielkich jednostek pancernych i zmotoryzowanych oraz postawiła na nogi potężne lotnictwo bojowe. Doświadczenia wojenne z Chin i Hiszpanii zapewniły Niemcom właściwy rozwój ich sił zbrojnych.

Plan koncentracji przeciwko Polsce został z precyzyjną dokładnością wykonany, poruszę go zatem w dziale koncentracji niemieckiej.

Jak wyglądała mobilizacja niemiecka

Miałem możliwość jej się przyjrzeć. Niemieckie siły zbrojne rozwijały się ilościowo i jakościowo w wyjątkowo szybkim tempie od roku 1935, wspomnianej daty zignorowania Traktatu Wersalskiego.

7 marca 1936 r. Rzesza zmilitaryzowała Nadrenię — w dwa lata później, 12 marca 1938 r., nastąpiła zbrojna aneksja Austrii.

W okresie od 1 do 10 października 1938 r. wojska niemieckie zajęły Sudety.

15 marca 1939 r. w dalszej konsekwencji — całą Czechosłowację.

Przy zajęciu krajów austriackich oraz czechosłowackich wprowadzono do akcji elementy mobilizacyjne, koncentracyjne oraz działań, co prawda bez zbrojnego starcia, wobec kapitulacji tych krajów, ale działań nastawionych na operacje wojenne. Dało to Niemcom wiele doświadczeń i wprawy.

Po okupacji Czechosłowacji całość militarnej i państwowej energii Rzeszy skierowała się na przygotowania wojenne przeciwko Polsce. W ciągu tego półroczu do początków sierpnia, na miesiąc przed wybuchem wojny 1 września 1939 r. — przeprowadzali Niemcy kartkową, tajną mobilizację. Na dworcach w całych Niemczech widać było grupy od dwu do kilkunastu młodych ludzi, żegnanych przez swych najbliższych. Przy okazywaniu biletów w pociągach można się było zorientować, że ci młodzi cywilni mieli kolejowe dokumenty wojskowe. Dla charakterystyki tej tajnej mobilizacji dodaję, że na kilku odcinkach pogranicznych linie kolejowe niemieckie biegły tuż koło granicy polskiej, np. na odcinku miejscowości Krzyż (Kreuz). Na kilka miesięcy przed wojną Niemcy gasili nocą na tych pogranicznych odcinkach w pociągach światło, zasłaniali okna, żeby nie zwracać uwagi, że normalnie krótkie składy pociągów oraz niewielka ilość pasażerów wzrosły do długiej serii wagonów, przepelnionych młodymi ludźmi. Była to arteria kolejowa, przeciążona rezerwistami, przeznaczonymi do północnych rejonów koncentracyjnych.

Kilka uwag z mej podróży w pierwszej połowie sierpnia 1939 roku na trasie Berlin — Lipsk — Norymberg — Monachium:

Na całej przestrzeni był zastój w polu. Bogate, piękne łany zbóż, w które obfituje Saksonia, Turynia, Bawaria, leżały gnijące na pniu. W miejscowościach tych na polach pracowały tylko kobiety i starcy. Nieobfitujące w produkty rolne Niemcy zaprzepaściły w tym roku zniwa, pozwalając gnić zbożu i kartoflom, kalkulując na lepsze zniwa wojenne, do których powołano wszystkich mężczyzn. Najdalej z początkiem sierpnia bez ogłoszenia była zakończona mobilizacja niemiecka.

Od marca 1939 roku przygotowywały się Niemcy do wojny przeciwko Polsce jak do występu teatralnego.

Od Łaby po kraje polskie biegły wojskowe arterie komunikacyjne do stref koncentracyjnych. Już w maju 1939 r. widać było na ważniejszych szosach wielkie tablice z głoskami „Dg” — co oznaczało „Durchgang”. Z Berlina np. przez Küstrin na Schneidemühle wskazywały napisy „Dg — 9” kierunek dla określonych dywizji niemieckich.

W maju 1939 r. zawrzął ruch na tych szosach od Bałtyku po Karpaty. Zmobilizowane dywizje niemieckie, szczególnie z centralnych i zachodnich Niemiec, przeprowadzały swe próbnego ćwiczenia koncentracyjne, włącznie do zajmowania stanowisk artylerii, broni przeciwpancernej i przeciwlotniczej, ciężkich broni piechoty.

*) Urwki z wykładów o wojnie polsko-niemieckiej, wygłoszonych w irańskiej Wyższej Szkole Wojennej.

Koncentracja niemiecka

Koncentracja niemiecka przeprowadzona została od początku sierpnia, miała zatem miejsce czasu. Odbываła się ona z wielkimi szykanami, w luksusowych warunkach, jakie zapewniał sobie zawsze napadający, szczególnie jeżeli jest świadomy swej drugoczącej przewagi, wie, że nieprzyjacieli nie może mu przeszkodzić i że on, atakujący, decyduje o wyborze terminu wybuchu wojny.

Sądzę, że zacytowanie fragmentów obserwacyjnych z mego pobytu wśród koncentracji armii szcześcińskiej, generała Kluge, może lepiej przedstawić spokojnie warunki gotowania się do skoku, zajmowania przez niemieckie siły zbrojne baz wyjściowych.

Dnia 26 sierpnia w powrotnej drodze z Polski do Berlina, w drodze na Szczecin, zatrzymała mnie po przejeździe granicy żandarmeria niemiecka, uprzejmie prosiła mnie o dłuższy postój, ponieważ ku granicy polskiej maszerują kolumny wszelkich broni dla zajęcia stanowisk wojennych.

Zmuszono mnie zatem do pobytu w rejonie koncentracyjnym na przestrzeni od granicy polskiej po Szczecin, gdzie widziałem zmotoryzowane jednostki w uszykowaniu rozczłonkowanym, ukryte, stosujące zasady biernej obrony przeciwlotniczej, baterie haubic na stanowiskach, eskadry obserwacyjne i bojowe, ukryte na wojennych łądach pod drzewami, między zabudowaniami, baterie artylerii przeciwlotniczej w pogotowiu ogniowym.

Układ sił Polski i Niemiec

Przytaczam kilka charakterystycznych pozycji, dotyczących układu sił Polski i Niemiec. Trzeba pamiętać o niemieckiej przewa-

dze ludności 35 na 84 miliony, przewadze uprzemysłowienia i techniki Rzeszy, 30 i 17-krotnej przewadze produkcji żelaza i stali. Trzeba mieć w pamięci również elementy doskonałej mobilizacji i koncentracji niemieckiej wobec całkowitego braku, skutkiem interwencji zagranicznej, tych podstawowych czynników ze strony polskiej. Mamy decyzję terminu wojny, zależną wyłącznie od Niemców.

Obecnie, omawiając układ sił w chwili wybuchu wojny, przedstawie w zarysach elementy siły bojowej dywizji polskich i niemieckich, ilość dywizji niemieckich, jakie uderzyły na Polskę, oraz ilość dywizji polskich, które mimo beznadziejności sytuacji stawiały Niemcom zacieki opór.

Następujące uzbrojenie miały dywizje

	polskie	niemieckie
armaty lekkie	30	8
haubice	12	36
ciężkie działa	6	42
	48	86
działka ppc	27	75
moździerz	18	54
granatniki	81	84
karabiny maszynowe	369	480
baonów strzeleckich	9	9

Dodam, że wiele dywizji niemieckich miało po 106 dział, zatem 20 dział więcej niż podałem wyżej.

Kilka słów o broni pancernej i zmotoryzowanej. Polska posiadała dwie słabe pod względem uzbrojenia brygady.

PATOLOGIA POLITYCZNA

Frederic Oechsner. This is the Enemy. London. Toronto, 1943. Str. IV i 303.

Autor współpracował z czterema innymi korespondentami amerykańskimi, którzy do wypowiedzenia wojny przez Stany Zjednoczone przebywali w Niemczech, przy czym przez 5 ostatnich miesięcy byli internowani w Bad Nauheim. Wiadomo, posiadane przez ten zespół ludzi, są stosunkowo świeże, zwłaszcza że nawet w czasie ich internowania docierały do nich wieści o sytuacji wewnętrznej Niemiec.

Cel książki wyjaśnia rozdział ostatni, 25-ty, napisany przez głównego autora. Przeskok ze stosunków życia niemieckiego, w którym tkwił przez tak długi czas i do tak niedawna, i skonfrontowanie rzeczywistości niemieckiej z amerykańską, uzmysłowiły mu, że Stany Zjednoczone nie są gotowe psychicznie do odniesienia zwycięstwa. Nie ma powszechnej zgody na to, co jest celem wojny, ani nie ma gotowości do poniesienia ofiar w dostatecznym stopniu dla odniesienia zwycięstwa. Istnieje rozbieżność w opinii, kto jest głównym nieprzyjacielem. Nie ma zupełnego skoncentrowania umysłu na sprawach wojny. Ludzie, mimo że sklepy są pełne, że jest mnóstwo żywności, narzekają na to, że ta żywność albo nie jest należąca urozmaicona, albo że nie jest w takim jak poprzednio gatunku. Trzeba rozproszyć iluzję co do tego, że jest jakaś półtotalna wojna. Obywatele Stanów Zjednoczonych nie widzieli ofiar niemieckiego terroru ani pół bitew. Nie można wygrać wojny, nawet mając dostateczną ilość armat, czołgów i samolotów, bez poparcia i determinacji całego narodu. I zwycięstwo także nie będzie odniesione, jeżeli każdy Willy Schultz, każdy przeciętny Niemiec nie przekona się na własnej skórze, że Niemcy zostały pobite, że po raz drugi w historii świata użycie siły nie przyniosło żadnej korzyści.

By ten swój cel osiągnąć, przedstawiają autorzy dzisiejsze Niemcy: ludzi, którzy stoją u władzy (Goering, Ribbentrop, Goebbels, a nade wszystko Hitler, któremu poświęcona jest prawie cała część pierwszej), techniki wojny, stosunki wewnętrzne w Niemczech. Część czwartą poświęcili autorzy piątej kolumnie, przyczynom narastania oporu przeciwko okupacji niemieckiej w krajach pobitych, zniszczeniu, jakie przyniosła za sobą wojna, i wreszcie niemieckim planom nowego porządku na świecie. Zapewnić one mają Niemcom wieczną szczęśliwość, a to przez ugruntuwanie hitlerowskiego porządku rzeczy w samych Niemczech i wyzysku niemieckiej sfery wpływów przez wielkie Niemcy.

O Polsce w książce mało. Poza specjalnym rozdziałem o początku wojny i o przebiegu kampanii wrześniowej, zawierającym nie zawsze dokładne dane (np., że Polska dysponowała 50 wielkimi jednostkami), powracają do niej autorzy, omawiając sprawę terroru. Mówią bardzo krótko, że nigdzie plutony egzekucyjne nie są tak czynne, jak w naszym kraju. Ale w porównaniu z wiadomościami z Czechosłowacji, danych bardzo niewiele. Zdaje się, że zgadujemy przyczynę. Tak samo, jak Niemcy ukrywają szczegóły przyszłego „Neuordnung” w Europie, tak samo nie chwala się tym, jak wygląda praktyka „Neuordnung” w Polsce, gdzie bodajże w jednym kraju okupowanym zastosowali „nowy ład” w całej rozciągłości. Jest to zakazany rewir, o którym Niemcy nie chcą mówić, gdzie ciągle trwa wojna od 1 września 1939 r., gdzie Niemcy mają swego najzawziętszego, najbardziej zdeteminowanego przeciwnika.

Na książkę można patrzeć z dwu punktów widzenia. Po pierwsze — wartości jej jako publikacji propagandowej z punktu widzenia momentu politycznego. I tutaj wszystkie jej części mają równą wartość. Ponadto książka ta jest studium zbrodni natury, ludzkiej i stawia diagnozę obja-

Niemcy dysponowali w pierwszym rzucie 14 kapitalnie wyekwipowanymi dywizjami pancernymi i zmotoryzowanymi. Dywizje niemieckie posiadały

	pancerna	lekka pancerna
armaty	6	12
haubice	32	32
	38	44
działka ppc	83	112
moździerz	12	12
granatniki	30	30
karabiny maszyn.	300	330
czołgi	400	200
samochody pancerne	49	48
baony strzeleckie	3	4

Zestawienia te mówią same za siebie o bogactwie uzbrojenia i przewadze ogniowej Niemców.

Wybuch wojny

Przechodzę do układu sił ilości wielkich jednostek po stronie Polski i Niemiec w chwili wybuchu wojny.

Wobec odwołanej, na skutek interwencji zagranicznej, mobilizacji, Polska miała w pierwszym rzucie bojowym:

16 dywizji piechoty, 7 brygad kawalerii oraz po 1 brygadzie piechoty zmotoryzowanej i morskiej.

Niemcy ruszyli do boju w komplecie zmobilizowanym z 48 dywizjami piechoty, w tym 14 dywizjami pancernymi oraz 1 brygadą kawalerii.

Przy określaniu stosunku sił polsko-niemieckich, należy zatem uwzględnić:

Polska Niemcy	
— ilość dywizji	16 na 48
— siłę ogniową dywizji	48 " 86 dział art. 27 " 75 " ppc.
— siłę uderzeniową 14 dywizji pancernych i zmotoryzowanych, wobec polskich 2 brygad zmotoryzowanych.	
Każda taka dywizja niemiecka miała	
około	40 dział art.
"	100 " ppc.
od 400 do 200 czołgów (pancernych i lekkich)	
50 aut pancernych	
— kapitalne ugrupowanie strategiczne z wysuniętymi o 300 km. na wschód od centrum niemieckiego skrzydłowymi bastionami w Prusach Wschodnich i w Słowacji;	
— całkowitą przewagę lotniczą, 3.500 niemieckich maszyn wobec ponad 400 maszyn polskich oraz drugoczną przewagę floty wojennej;	
— podstępny napad na Polskę, bez wypowiedzenia jej wojny, co zawsze daje przewagę atakującemu w tak ważnym okresie zapoczątkowania wojny. Mielśmy tego przykład z wojny zaskoczeniowej Japonii przeciwko Stanom Zjednoczonym.	
W tych warunkach układu sił operacje, jakie się rozwinęły, obfitowały w tragiczne dla Polski momenty.	

Naród polski, jak jeden mąż, wystąpił przeciwko Niemcom, a w obliczu okupacji Polski przez Niemców milionowe rzesze Polaków ruszyły w bezprzykładną tułaczkę, uchodząc przed Niemcami, jak przed zarzą.

Siły zbrojne polskie, mając zniszczone koleje, zatarasowane drogi własnymi uchodźcami, mimo nadludzkiego wysiłku jednostki i całego Narodu, który garnął się pod broń, nie mogły przeprowadzić mobilizacji, a tym samym i koncentracji.

Straty niemieckie

Straty, zadane Niemcom przez Polaków, według źródeł Reichskriegsministerium były następujące:

do 6 września 1939 roku zabitych 10.572,	
zaginionych 3.409, rannych 30.392	
do 24 września 1939 roku zabitych 91.278	
ciężko rannych 63.417	
lżej	34.938
ogółem	98.355

do 24 września 1939 razem strat niemieckich 189.633 żołnierzy.

Nie znamy oficjalnych cyfr niemieckich za cały przebieg wojny, a stwierdzić należy, że zaciętość oporu polskiego wzrastała z dnia na dzień, z godziny na godzinę, tym więcej, że u Niemców występowało wyczerpanie fizyczne i poważne niedomaganie zaopatrzeniowe, wyniki z powodu polskiego niszczenia szos, kolei, mostów.

Ogólnie wspomnę, że kompanie i baterie niemieckie spadły do stanów 60 nawet 20 ludzi, tzn. miały straty od 60 do 90%.

Polacy zniszczyli około 28% czołgów niemieckich, tzn. około 2600 czołgów niemieckich i aut pancernych wypadło z boju.

Do 14 września zestrzelono ponad 1000 aeroplanów niemieckich, w tych dwóch tygodniach zestrzelono ponad samą Warszawą 127 maszyn, przeważnie bombardujących.

Cyfy te mówią za siebie i uwiadoczniają kapitalny udział Narodu i Państwa Polskiego w wojnie na ziemiach polskich.

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

LIST DO MŁODEGO POETY

„Dopóki bowiem nie nauczę się biegle rozróżniać rzeczy przypadkowych od nieodrodných, czegoż mogę żądać od swego piera, jeśli nie ścisłości i dokładności?”

André Gide

Mój drogi, Twój list odświeżył w mej pamięci dzięki zabawnemu podobieństwu sytuacji zdarzenie, dobrze znane historykom i krytykom poezji. Fakt, że jesteś uczniem Szkoły Podchorążych, przypomni mi oto, że w swoim czasie pewien kadet niemiecki, błąd i smutny młodzieniec, przechadzający się często w alei parku szkolnego z utworami klasyków pod pachą, postanowił jednego dnia przerwać długotrwałe milczenie i posłać jeden swój wiersz wraz z listem wielkiemu poecie Reinerowi Maria Rilke. Rilke najnieoczekiwaniej w świecie odpowiedział listem, stanowiącym wykład o poezji w duchu Insel-Kreis. Rozpoczęła się żywa wymiana myśli i Rilke w dziesięciu kolejnych listach (opublikowanych potem jako „Briefe an einem jungen Dichter”) sformułował swoje przekonania artystyczne, zapładniając i pobudzając całą grupę poetów, którym przewodził Stefan George. I jeśli wówczas główny sprawca tego twórczego zamętu rychło usunięty został w cień, odgrywając tylko rolę pretekstu — to chciałbym, ażeby teraz sprawa przybrała odmienny zgoła obrót. Ale dlatego też musisz w pierwszym rzędzie pozwolić na przytoczenie Twojego wiersza.

EROTYK WIĘZIENNY

Ech, moja miła, ty sądzisz pewnie, Żem w myślach zataił Twój ślad, Że gdzieś mnie dawniej ocz błyskiem wodziła, Rzucony został kwiat. Miła, kochana, jakże to nieładnie Podstępem dawać śluch, Gdy ja strudzony, od zmierzchu do rana Ślady całuję Twych ust. Przyjdź do mnie nocą, Stań w świetle księżycy Za dawnych jak było lat. Spraw aby oczy Po celi błądzące Ujrzały niebo bez krat.

Trudno powiedzieć, że wiersz ten jest dobry. Ale podoba mi się on dlatego, że stanowi swego rodzaju żart liryczny, przykład jakiegoś bardzo swoistej i przyjemnej przekory uczuciowej. Pomysł bowiem: że we wszystkich znanych nam erotykach czułość poety wobec ukochanej ma bardzo określone zabarwienie uczuciowe. Powiedziałbym, że urok jej tkwi w poczuciu siły męskiej, rozbrojonej przez gwałtowne uczucie. Czułość ta jest jakby rezultatem dobrowolnej rezygnacji z przewagi, jaką umiejętność w pokonywaniu trudów życia daje mężczyźnie, czyli siłą a rebours. Są to owe słynne więzy, które poeci wszędy i czasów stawili jako „słodkie”, bo nałożeniem ich zajmowała się zawsze jakaś bardzo drobna i krucho-ręczka. Ale siłacz, choć spętany, nie prze staje nim być na zawsze i w tej uroczej antynomii zawiera się liryczne piękno tego rodzaju utworów poetyckich. Chcę bowiem, abys wiedział, że liryzm nie oznacza w poezji uczuciowości w ogóle, zakwita on naprawdę wtedy tylko, gdy mamy do czynienia z **powikłaniem** uczuć.

W przeciwnieństwie do tego Twój wiersz jest prostym i bezpośrednim wyznaniem słabości. Poeta przeciw „strudzony” (dobrze pamiętamy to słowo) jest **spętany podwójnie**. Ktoś skradł mu serce, a ktoś inny wolność. Chciały ujrzyć „niebo bez krat” i ktoś mógłby mu w tym pomóc? Wiersz jego jest więc prośbą o uwolnienie z udręki miłości, o przywrócenie siły, która by pozwoliła po męsku przetrwać gorzką, więzienną dolę. Po dwóch pierwszych strofach, stanowiących niejako krótki wyrzut, dwie ostatnie ostrożnie nawracają do owego „nieba bez krat”. I oto ten smutny żart liryczny zamienia się w bolesny paradoks. Erotek łagodnie, czule domaga się zdjęcia uroku miłości w imię tęsknoty za wolnością. A przecież w tej krótkiej walce nie ma niczyjzego zwycięstwa. Słabość jest pragnieniem siły, uczucia nie jest odejściem ale wyzwaniem, rzuconym prawdziwej niewoli. W poetyckiej transpozycji nazwy tracą właściwe znaczenia, mienią się, wprowadzając czytelnika w radosne zakłopotanie. Sens staje się jasny, ale jak to osiągnięto? Odbierając słowom ich zwykłą treść, a znaczeniom konwencjonalną zawartość. Próbnoby dociekał tego sensu semantyk, uzbrojony w wiedzę o znaczeniu wyrazów. Gdyż jest to gra, zabawa, ulotna i niepochwytana, unosząca się w swej kreacji do poziomu uczuć, dla których w mowie ludzkiej nie ma jednoznacznych nazw. Bo nie o nazwanie, wyrażanie tu chodzi, a o tworzenie, kreowanie. Im piękniejsze i wznioślejsze są nasze uczucia, tym trudniej je wyrazić, ale i tym łatwiej kreować. Jak? Władając nie tylko grą słów jak poeci retoryczni, ale sprawiając, aby w „uprzejmym migotaniu” (jak powiada Maritain) uczucia pożyły blasku od słów, a słowa przegłądały się w czystym zwierciadle uczuć. Kształcić więc należy nie tylko znajomość techniki poetyckiej, ale i kulturę własnych uczuć. Gdyż aby poeta mógł pięknie pisać, musi równie pięknie czuć. W dziedzinie zjawisk humanistycznych rzadko spotykamy symetrię i pro-

porcję, a jeszcze rzadziej potrafimy je odmieścić, przytupianiem sprawdzając regularność metra. Na poezję reaguje się głową i sercem, a nie nogami. I na odwrót często poznajemy rzeźby i obrazy, poematy i melodie doskonale harmonijne, a przeraźliwie opuszczone i beznadziejnie martwe.

Mój drogi, nie łudź się ani przez chwilę, że pomyślałeś o tym wszystkim, pisząc swój „Erotek więzienny”. Znam nazbyt dobrze poetów, aby nie posiadać tej osobliwej pewności, że wiedzą oni zazwyczaj o swoich utworach niewiele więcej niż bardzo przeciętny czytelnik. Nie staraj się również przekonać mnie, że taka interpretacja Twego wiersza, jaką przeczytałeś przed chwilą, nie jest dla Ciebie niespodzianką. Rzecz w tym bowiem, że to co ja napisałem, jest swojego rodzaju mistyfikacją, określa nie to czym Twój wiersz jest, ale czym mógł i powinien on być. Inaczej mówiąc, to ja napisałem na kanwie „Eroteku więziennego” utwór, który chętnie Ci ofiarowuję. Pragnę bowiem, abys się przy tej okazji dowiedział, że takie są zadania poety i krytyka poezji. Gdy jeden, wiedziony trafną intuicją, daje wyraz swoim beznadziejnie błagającym się myślom i wzruszeniom, drugi ożywia się o tyle, o ile są one wystarczającą podniętą intelektualną i uczuciową. Pielęguje ślepy płód. Komunikatywnym językiem rozpraw pisze poemat w odpowiedzi na poemat. Jest więc także poeta, albo lepiej, obaj oni są równoprawnymi artystami, jak w muzyce kompozytor i wirtuoz-odtwórca.

Przypadek sprawi, że pisząc te słowa natrafiłem na wiersz gatunkowo podobny do Twojego: „List z Pensylwanii” Wierzyńskiego.

LIST Z PENSYLVANII

Moja miła, modrzewie tu rosną,
Jak w Muszynie pod oknem szumiące,
Sypię szyszki, gdy gałąź potrąca.
Jest tu ogród, co chowa się dziki
W puszczy dębów, brzoź, naszych akacji...
Moja miła, tu rosną krwawniki
Jak w Czabrowie ostatnich wakacji.
I jest szalwia, co płonie jak wtedy,
Oset polny na wiatrach się swata.
Ach, ze zwykłym zapachem rezedy
Wszystkie dawne wracają mi lata.
Wracam z nimi... I błądzą zgubiony
Gdzieś, gdzie kończy się świat i zaczyna.
Moja miła, nie nasze to strony,
Nie nasz Czabrow, nie nasza Muszyna.

Przeczytałem go kilkakrotnie i pozostawił mnie uczuciowo równie obojętnym, jak gdybym go nie znał zupełnie. Musisz zrozumieć: są zdarzenia i ludzie, którzy nie budzą w nas żadnych nowych uczuć, odświeżając stare i zadowalające, i zdobywają tym naszą sympatię i skłonność. Upodobanie do wspomnień i sentymentalnych wzruszeń to główne przekleństwo prawdziwej poezji. Każdy z nas ma dostateczny zapas tego dobra i z poruszających je klawiszy można spleść wcale ładny dorobek literacki. Wiedzą o tym dobrze poeci retoryczni i ich „magia słowa” stanowi raczej środek do wywoływania uczuć, niż uczucia same. Oto co musisz w sobie tępić i wypalać — pokusa bowiem jest zbyt wielka. Jeśli z wiersza spływa ku mnie nie poruszenie serca i umysłu, ale słodka omdłość i spokój dosy tu — wiem, że jest on zły.

Zapewne to miał na myśli ksiądz Brémond, pisząc swój brzemienisty traktat o „poezji czystej”. Ale od tej chwili upłynęło sporo czasu, nazwa się zdevaluowała i poezja „czysta” stała się synonimem bezsensu, ekscentryczności i młodzieńczej przekory. Przeciwnie inteligentny człowiek na jej wspomnienie myśli: futurizm, dadaizm, surrealizm i z rezygnacją macha ręką. Jeśli jest jeszcze dość beczelny powie Ci: wyrośnię Pan z tego. I gdy ten naiwny zwrot zastanowi Cię przez chwilę, odpowiedź bez wahania: nie dorosłem jeszcze do tego. Trudno powiedzieć, abyśmy mając w życiu wiele miłości, nie obdarzali ich żadnym uczuciem. Ale kto ośmieli się zaprzeczyć, że czystszy i piękniejszy od nich uczuciem jest miłość? Powiadają, że poeta jest także człowiekiem. Rzecz w tym, że jest on przeciw człowiekiem. Każdy poeta ma prawo zajmować się miłostkami, ale każda poezja ma obowiązek zajmować się tylko miłością.

Pozwól mi przypomnieć w tym miejscu fragment z drukowanego w nowojorskim „The Saturday Review of Literature” artykułu Maxa Eastmana „How to enjoy poetry?”. „Język poetycki można określić tylko jako język miłości. Poeci mówią o wszystkich rzeczach, złych i dobrych, szpetnych i pięknych (exquise), jak mówi kochanek o swej miłości. Rozwzruszą się nad jej przymiotami (atributes), wyszukują dla niej pieszczotliwie nazwy, charakteryzują każde jej tchnienie nowym epitetem — aż stają się nudi dla zwykłych ludzi (prosaic people), którzy nie wiedzą zazwyczaj jakie wydarzenia i rzeczy przynosi miłość”.

Otwarcie wyznaje, że w tym uczuciu nudy z prawdziwą przyjemnością łączy się z owymi „prosaic people”.

Błędem jest sądzić, że postulat poezji czystej powstał dopiero w kręgu rozmyślań o charakterze i celach sztuki nowoczesnej. Jeśli bowiem potraktować z należytą dozą powściągliwości i ostrożności wypowiedzi jej „kapła-

nów”, okaże się, że znaczenie częściej niż apostołami bywają oni... obrazoburcami. Wystarczy wskazać choćby na słynną w swoim czasie akcję awangardy krakowskiej, skierowaną przeciwko lirycie Kasprzowicza („Chamuły poezji” — Przybosa), lub — zagranicą — na ekscentryczny manifest „dada”, ułożony przez ciekawego poetę Tristana Tzara. Po bliższym tedy wejrzeniu wypadnie stwierdzić, że ci sami poeci, którzy w ulotnych pismach i efemerycznych periodykach zwolują przy pomocy efektownie sformułowanych haseł pod swoje znaki zdeorientowaną młodzież literacką — w najlepszym swych utworach nawiązują do najpiękniejszych tradycji poezji polskiej i światowej. Jest rzeczą socjologa kultury ustalić, w jakim stopniu ten rewolucyjny bałagan przyczynia się do ożywienia życia literackiego. Wolno przypuszczać, że tak jak nieudane nawet rewolucje społeczne i polityczne powoduje on znaczne ożywienie umysłów, podwyższa poziom dyskusji o zagadnieniach sztuki i oceniany na dalszą metę, staje się pozytywnym i korzystnym zjawiskiem.

Sam, w polemice z Peiperem, zwróciłem kiedyś uwagę, że jego „Nowe usta” i „Tędy” stanowią nie innego jak tylko zwykły wykład nowoczesnego baroku poetyckiego (teoria pseudonimowania). Przybysz ze swoją schyłkową delikatną i precyzyjnie intelektualną uczuciowością wydaje się być zawieszony pomiędzy poezją Słowackiego i Norwida. Czechowicz lirycznym piątnerstwem przypomina „złotniczenka” poezji polskiej — Lenartowicza.

Widzisz więc, jak trudno z całą pewnością powiedzieć, gdzie i kiedy zaczyna się „poezja czysta”. Dlatego myślę, że Twój pogląd jakoby „prawdziwa poezja wybuchła dopiero w wierszach Apollinaire’a”, należy zrewidować. Osobiście gotów jestem zgodzić się tylko na to, że istnieją rozmaite odmiany poezji czystej i że jej nurt główny uczył wiele ze swych uroków zarówno poematom Byrona i Shelley’a, jak i rwącym strofom „Piesni Maldorora” długo zapoznanego i nieszczonego Latreumonta. Z tych odmian za najgłówniejsze uważam poezje refleksyjne i poezje kreative.

Obawiam się, że już Cię już odrobine bardzo teoretyczny tok tego listu. Naprawdę nie chciałem utracić Twojej uwagi, może więc przerwiemy na chwilę, aby posłuchać pięknego wiersza Tadeusza Micińskiego „Nokturn”.

NOKTURN

Las płaczących brzoź
Śniegiem osypany.
Pościął mi mróz
Moje tulipany.
Leży u mych stóp
Konająca mewa —
Patrzą na jej trup
Zamyśloni drzewa.
Śniegiem zmywam krew,
Lecz jej nie zgłuszysz —
Słyszysz dziwny śpiew
W czarnym zamku duszy.

Postawa refleksyjna, postawa czerpiąca piękno z zamyślenia może być najlepiej wyjaśniona na przykładzie procesu twórczego z jednej i przebiegu percepcji estetycznej z drugiej strony. Gdy pilnie przeczytasz ten „Nokturn”, napewno zauważysz, że ostateczny, zwiezły obraz „konającej mewy” poprzedzał musiały cały szereg innych niezauważanych i luźno ze sobą powiązanych rozmyślań i obrazów. Wyda się, jakby cała radość twórcza poety wyczerpywała się stopniowo w miarę przybliżania się do właściwego kształtu wizji, do właściwego symbolu przeżycia. To co stanowi punkt dojścia dla poety (a co jest już tylko martwym, zakrzepłym tworem), jest punktem wyjścia dla przeżycia estetycznego czytelnika. Chcąc go więc doznać, musisz cofać się możliwie tą samą drogą, którą podążał do celu poeta. Dla symbolisty wiersz jest aktem **upragnionego spełnienia**, dla czytelnika symbolizm tylko obietnicą. Na przeżycie artystyczne poety odpowiadamy już tylko własnym przeżyciem estetycznym.

Artystyczne — pobudzające do własnego, twórczego wysiłku. Estetyczne — wywołujące stan biernego zachwytu. Czyli ten sam proces uczuciowy, przeżywany w **odwrotnym** porządku, zmienia swój charakter w zależności od „położenia” wytworu sztuki. Gdy stanowi kres poznania intelektualnego i uczuciowego, dostarcza wzruszeń artystycznych, gdy natomiast jest podniętą do ich wtórnego doświadczenia go, wywołuje cały szereg przejawów zadowolenia estetycznego. Prawdziwe piękno symbolu żyje tak jak i urok refleksji poza ich ostateczną formułą logiczną lub poetycką. Jest niby nikła i zwiewna poświata, otaczająca z trudem rozniecony płomień.

Wierzę anegdotycznie o Mallarmé’em spędzającym w bezruchu długie godziny na wpatrywaniu się w słowa, wypisane na kościanych fiszkach. Jest to w zgodzie z wiarą symbolistów w „tajemny rodowód słów”.

Ulubiona przez symbolistów zasada kontemplacji, gdy ją — uznawszy obecność czynnika zabawy i fantazji w każdej wielkiej sztuce — zastąpił przez zasadę swobodnej gry pojęć i skojarzeń, daje w rezultacie poezję kreative. W wierszu młodzieńczego samobójcy Raymonda Radigueta daje się to dobrze zaobserwować.

HAMAK

W toni nieba nie w toni mórz
We własne sidła schwycona,
Dla jakich przyczyn, nie wiem już.
Gdy gniewasz się, dziwożono,
Żem niebu oddać się bez szat,
Nie bierz zasłony przecież
Z lazuru wiosny w kwiecie.
Rybki — te wiosny postanki jak dawniej
jaskółki rzeczne

Two stopy depcząc równianki,
Gdzie skryte serce bezpiecznie.
Rusałka, kołyszając świat
Sen

W wielkiej spokojnej wodzie
Trzepoce się jak w niewodzie.

Rzecz jasna, konstrukcja logiczna tego wiersza jest, przynajmniej pozornie, znacznie bardziej skomplikowana niż w „Nokturnie”. Opiera się na bardzo rozumnym kojarzeniu odległych pojęć tak, aby ich związek logiczny wymykał się naszemu, nawykowemu do zasad prostego wynikania, zdrowemu rozsądkowi. Wiadomo, tak jak we śnie, że leżąc w hamaku oglądamy raczej ton nieba niż ton mórz. Ale skąd zaraz ta dziwożona? Powiedzmy, że jest to wytwór rozkołysanej wyobraźni. Budzi się nasza czujność. Teraz gotowiśmy nawet zgodzić się na te „rybki wiosny postanki jak dawniej jaskółki rzeczne”. Ale bo też rusałka „depczą równianki” kołyszając świat. Więc jakże uchwycić jego jednoznaczny sens, skoro rozkołysany ukazuje się naszym oczom to w tej, to w innej postaci. Ostrożnie, przyjacielu, nie ufaj zbyttno zimnemu lancetowi swego rozumu! Sen wydaje już ostatni trzepot i obejmuje we władanie swobodnie igrającą wyobraźnię. Zasypiamy, był to tylko żart z pogranicza zwiudu i jawy.

Czym jest symbol w poezji refleksyjnej i poznawczej, tym metafora jest w poezji kreativej. Symbol jest aktem jednorazowego i krótkotrwałego wyzwolenia z pod władzy długiej i przewlekłej refleksji. Metafora, otwierając nowy świat, jest **oczyszczeniem** z przemocy ziemskich relacji i więzów. Poznawca — znaczy to ujrzyć rzeczy w ich trwałej współzależności i następstwie w czasie i przestrzeni. Doznawca — znaczy to uchwycić je na okamgnienie w ich zjawiskowym, niepowtarzalnym a także jednoczesnym i jednowymiarowym skrócie. Można tylko raz poczuć smak utworu symbolistycznego. Można niezliczoną ilość razy, zawsze na inny sposób, przeżywać uniesienie poezji kreativej.

Podobne prawdy określa bystry miłośnik malarstwa w trafnych i często słyszanych uwagach: wobec obrazu impresjonisty powiada: to jest piękne, ale nie wiem dlaczego. Stając przed płótnem szkoły holenderskiej dodaje: potrafię dokładnie powiedzieć, dlaczego mi się ono podoba. Co więcej, zdaje mi się, że potrafię się tego nauczyć.

Mam wrażenie, że „melodia semantyczna” byaby tu właściwym określeniem. Płynie ona z wyrazów. Skłania do uwierzenia, że jeśli słowa „oderwane” i izolowane miewają swój „tajemny rodowód”, słowa odbarzone wolnością ujawniają nowy, nieznany przedtem błysk w semantycznym uwikłaniu. Nie ulega wątpliwości, że słowo użyte w języku komunikatywnym w roli znaku, w mowie poetyckiej zmienia swój charakter zależnie od poświęty semantycznej (Posługując się tym zwrotem po raz pierwszy. Zdaje mi się, że jest lepszy od użytego już kiedyś „otocza semantycznego”, i proponowanego przez formalistów „kontekstu”), jaką roztacza. i od sąsiedztwa, w jakie potrafimy je wpłatać. Co więcej, w praktyce okazuje się, że im bardziej obce znaczeniowo wyrazy łączymy, tym zuchwalej zaskakuje nas wynik ich współżycia. Ten moment niespodzianki, nieoczekiwanej perspektywy stanowi elementarny składnik oddziaływania każdej sztuki. Wystarczy przytoczyć dla przykładu metaforę Przybosa z wiersza „Z Tatr”: „Ciszę piorunuje niewybuchy huk skał”. Nie znam języka, w którymby przy odwołaniu się do zasad zwykłej relacji można było oddać lepiej to uczucie, nie uironizując przy tym nic z jego piękna. Jeśli tedy Mallarmé dowierzał się korzeni każdego wyrazu z osobna, Apollinaire mógłby się zabawić ich dowolnym i ciągle zmieniającym łączeniem. Gdyż tylko w ten sposób można je wyzwolić z pod władzy materii, którą oznaczają, lub w najlepszym razie symbolizują.

Drogi przyjacielu, nie zależało mi na tym, żeby Ci przekazać jasny obraz tego, co wydaje mi się być poezją. Chciałem tylko, abys po przeczytaniu tego listu zapragnął sam bliżej poznać niezwykłe bogactwo jej zagadnień. I abys raz jeszcze rzuciwszy okiem na wyjęte z „Lochów Watykanu” zdanie uwierzył, że praca poety jest tak samo trudna i uciążliwa jak praca każdego uczciwego artysty: malarza i rzeźbiarza, snycerza i złotnika. To zaś, że wszyscy władamy słowem, a nie wszyscy pędzlem lub dłutem nie świadczy jeszcze, że wszyscy potrafimy pisać wiersze. Zmieniać się bowiem mogą czasy i poglądy, ludzie i namiećności, ale jedno przetrwa napewno, wielkość i piękno sztuki. A tę miłując prawdziwie, pamiętać musimy, że „finis operis” oznaczać będzie zawsze czystość i jasność dzieła sztuki, a „finis operantis” nieustanne, wytrwałe ćwiczenie się artysty w rzemiośle, któremu poświęcił całe swe życie i wszystkie swoje siły.

7. VI.—Poniedziałek

Od samego ranka odbywa się pochód krętymi tunełami wśród bambusowego lasu; tunele są strome i stopy idących dotykają głąbię porzeczki. Zielonopłowe bambusy stoją proste jak świece kościelne na otwartym, przepasanym wstążkami powojów. Drobne, srobrzyste liście chybotały się na czubkach, w kolkankach drobnych pienków tkwią trójkątne, wydłużone liście - trabki, gładkie kuśki koloru masy perłowej. Na ziemi leża bambusy, zmurszałe od wilgoci w dole pni, góra suche i zdrowe, pękające pod naciskiem nogi; rozlega się nieustanny trzask niby deptających żołądź w dąbrowie.

Giniemy w szumie potoku, hałaśliwym, potężnym, tym hałaśliwszym, że uważnie mil-



„Wąska osnieżona grań“

... fot. J. Golcz

czy. Nowa ścieżka stanowią potężne, omaszające głazy, zwalone pnie, powiązane korzeniami, pokryte czarną mazią. Boye idą ostrożnie, próbują nogą podłożyć, drugi kij masę gruntu, często osuwają się w głąb, lecz obciążeni palną na gówie i latarnią wrzecz z łatwością chwytają równowagę. Wokoło stoi las brodających drzew, podobnych od olbrzymich rododendronów (podocarpus), szerokie liście, zrodane w bukiety, osiady krańce gałęzi, aby być bliżej słońca i powietrza. Z pni zwisają kłęby mchów, paproci i — jak określa Jerzy — „wszelakiego warzywa“.

Jerzy skrupulatnie puka czekaniem w napotkany kwar. „Złota szukam, giupi!“, — powiada. Zamiast złota znajduje grupę boyów, porzuconych przez Golca. Dlaczego? Nie wyjaśnia jego listy, niewyrażone pisanie.

Cień pada z okapu potężnego gaju, który niegdyś urwał się z granitowej ściany Nnyamuleju, a teraz służy jako schronienie dla czarnych myśliwych i białych ludzi. Cień pada na Kinyangome, porośniętą aż do szczytu (4400 m) nie do przebycia bujną roślinnością. Na omal pionowej ścianie widać wierzby, paprocie, pnącze, seneo; przestężając warunku mieszkanka w kupie, nie lubią samotności. Pojedynczy osobnik zostanie spłukany równokowym deszczem, zwartą gromadę trudniej rozbić i zatopić. Ostanianie się przed deszczem parosolem liści, pozwalając łagodnej kropli po wolnie ściekać i zwilżać kamieniste ogrody. Zapary się korzeniami, rozsadzają skałę i dębują w niej niezmordowanie niewinni, zieloni górnicy.

Opada mgła, kryje Kinyangome, Rutare, świat kurczy się do najbliższych, potwornie wykosiawionych i popuchniętych od mchu niby rododendronów (podocarpus) kaktusów - patyków kaktusów - piropusów (lobelia), zielsk-kalafiorów (senecio), zielsk-chwastów, wrzósów - olbrzymów, oczekających, zakazanych od wilgoci ziemi i powietrza. W powalone od lat, spróchniałe nienie wrastają ozyny o owocach wielkości rajskich jabłek, w nieprzebrity gąszcz spletane żejznanami. Paprocie ciągną żywotne soki z tustej czarnej ziemi, rosną w oczach, liście przybijają zawieszę i kształty. Otaczają drzewo-wzros, otulono mchem koloru jasnej stony od południa, w zgłąbi zieleń od północy przechodzący, i dżwig się wielkości wrzósowej brody, spływającej sopłami ku ziemi. Obrastają stopy zielsk-kalafiorów, stojących szeregiem niby żołnierze na baczność, dżwigających na tułowiu opiętym koczchem zeschłych liści zieloną głowę, konusowo podniesioną ku górze. Gdzieniedzie po ważniejszy rangą kalafior-zielsko unosi ramiona na na wysokość głowy i stoi nieruchomo. Po latach wał się na ziemię i nowe pokolenie wyrasta z spróchniałych ciął, spletane w jedną rodzinę ghettem lian, kosmyków, powoń, złotych biczów praczy, konarów bez pni, okutanych mchem. W żywe ciała towarzyszyw wgrzają się paprocie, pnącze wspina się ku górze, nieczym plesń, pokrywają kostropate tułowie. Z czasem ciężar staje się tak wielki że właściciel ciała i pasorczyt wala się na ziemię, chciw nieboszczyków; w chwilę później wyrastają nowe gładkie pędy. Zółte, kwitnace hypericum, o lśniących, gładkich płatkach, strzążają na grzbach, niewinnie bezczelnie świecące łysk-lymami twarzami; ukazują kościaste, suchotnicze kolanka tułowia, nieprzeżartą wilgocią suchości żołądź i łamielność liści.

Tylko opancerzone, żrące kaktusy stoją nietknięte, smukłe, konstrukcyjne w kształtach jak najdoskonalsza budowlina.

Czuje, nie mówię słowa, potworną, moc dżungli Ruwenzori.

Nagle boje unilkli myją ręce i siadają wokoło suftrii. W milczeniu „Gulo“ ugniatają palcami, wolno wkładają je do ust. Nie śpię-

*) Por. nr. 12 „W Drodze“.

sza się, kolejno wyciągając ręce do garnka; mają powagę ludzi natury, spożywających dary boże. Może nadejdzie chwila, gdy któryś przeżegna się polskim, chłopskim obyczajem. Płomienie rzucają wydłużone, drgające cienie na osmolone ściany koliby, dym ciągnie ku górze, zasłania Krzyż Południa, rzuca iskry na posłania z mchów. Wrzask ptaka, nocnego stróża, przerywa ciszę.

Zrywa się gwar. Czarni myją zęby, wycierają ręce, pozostawiając resztę ciała nie-zbrukanego wodą. Od wewnątrz dzień jaśnieje bielą, potyskują biała oczu, lśnią zęby. Należy myć białosć, aby była czysta, a nie czerni, chłonna brud — czy nie tak, Tibucumita? Czy wiesz, że niegdyś wszyscy ludzie nosili czarną skórę; i kiedyś Bóg nadał wodom wielkiego Jeziora moc spłukania czerni? Naznaczył porę i wielu gorliwych a chytrych za-nurzyło się, zmieniając skórę jak wąż. Leniwy lud z wysokich traw nadsięgnął późną godziną, zatrzymany smakiem banana. Zaledwie stopy dotknęły wody, zaledwie dłońmi zaczerpnęły czarownego płynu, magiczna moc ustała. Czy pamięć tej hańby skłania cię do mycia białej rąk, Tibucumita?

S.VI — Wtorek.

Etapy: Nnyamuleju—Kigo—jeziro Buyugu pokryliśmy w jeden wilgotny mglisty dzień. Pod nogami chłupotało bagno na pół wyschniętych jezior porośniętych wrzosem, skrzypem, plesnią. Skrzypy zbliży się w twarde kępy, po których próbujemy chodzić; wkrótce serca od-czuwają wysokość (3500 m) i z powrotem zapadamy w gęstej mazi. Do tej pory zwarty sznur boyów rozciąga się, widocznie ciężar i pulsująca krew unosiła głowy. Lawirujemy wśród kęp jak dmy, szukając suchszego pod-łoża.

W środku wyschniętego dna jaśnieje pole zielonej paproci, o liściach bujnych jak nać pietruszki-olbrzyma, ciekłą leniwie strumyki, poryskujące tustymi płamami i zbiegającą do potoku, skaczącego po głazach. Szarozielone skrzypy o długich wtkach-rzęsach stoją w kębach wysoko ponad poziom wzniesionych, jak gdyby im było za mokro. Trawiasta plesń ędży nisko, ostrożnie wydłaga wałę nieczki, bojąc się zapasć w chłonne błoto. Ze stromych ścian doliny umarłych jezior biją pieniste sikawki, kregiem kwiaty o srebrzystych, łuskowatych kodykach, kielichu obrzeżonym czerwonożółtym szlakiem, rozpostarły się niby wieniec na grobie umarłych.

Ślady wspinają się na morenę, dzieląc jezioro Buyugu od wyschniętych jezior. Lepka mgła podchodzi z doliny, czepia się zielsk-kalafiorów, mchów, głązów, naszych ciął. Jerzy przykucają na ścieżce i grzebie nożem, na ostrzu potyskuje złoto, a może nie złoto? Zapominamy o mgle, wysokości, czekaniem podważymy kamień. Złoto czy mika? Jerzy wspomina poszukiwaczy z Klondyke, i robimy znaki na drzewach. — „W powrotnej drodze“, — mówi domyślnie.

Jerzy Golcz umknął wprzód z trzema tragarzami, — „aby torować drogę“, — powiada z poważną miną; z niedowierzaniem patrzymy na ślady w błocie.

Na stromym stoku toto-boy sunie wolno, odpoczywa; jesteśmy na wysokości blisko 4000 m. Z za kopców mchów widać się tafia szerokiej wody, oprawiona w muliste, brzo-zowe ramy, zima, bez ruchu, w przegłąda się w niej mgła ocieśla od wilgoci i skrzypu; rosnące na brzegu. To jezioro Buyugu, ostatni obóz.

W skalnej kolibie, wyrosłej u podnóża Johnstona, zwanego Cooking Pot (Garnek), boje murczą przy ognisku, dym wali w oczy, grał góć ciemnie na te gwiaździste nieba. Baker, Scott-Elliott Pass, daleki wąski pas lodowca, osiady na piorunowo opadającej ska-le, daleko Aleksandra opuściła ku nam skalne ramie, Stuhlman Pass, Speke, Co za sześciu, że taka noc przyszła po mglistym dniu! Spirywo nakryte płachtą wydychają kłęby par, wstaje zapóźniona mglika, sunie wstydliwie nad jeziorem, pełźnie przy brzegach i wiazi do koliby, odpędzana ogniem. Słychać trzask zapalki, cisza. Kości podnosi głównie z ogniska. „Wiesz“, — mówi Jerzy, — tutaj, zdaje się, jest trochę wilgotno“.

Czarni boje stoją rzędem, zmartwieni. Czesz z nich ma odejść w dół, z powrotem, jasno potrochni, zgnębi, — tak zostało zdecydowane. Czesz rusza z nami pod zachodni lodowiec. Długo patrzymy przez lornetkę, długo toczy się dyskusja.

Niewiulu ludzi było w tych górach, niewiele pozostało wiadomości. W książce, leżącej w szerszenie zamkniętej, blaszanej oprawie, matomówny Anglić krótko, nieczym wypracowanie szkolne, piszą: „Mgła, nie nie widać; wracamy“. Albo: „Byliśmy na Speke; nasza rada: iść skalatami“. Lecz żaden nie napisał o Marguericie, bo nikt od czasu jak księżka leży w Cooking Pot nie wyszła na nią. A leży od roku. W tym okresie były trzy wyprawy, to niewielkie i nie dziwne, że toczy się dyskusja.

Na ścianach przepasisto ku nam spadających widać, niby na torcie przekrajanym w pół, wierzchnią warstwę lukru-lodowca. Opary się na skałach, w północno-zachodniej części rozlał się i pomieszał z czarnymi rodzynkami piargów dolnego ramienia Aleksandry. Biała ściana lodowca, wypukłana stołcem, odstania żółte jak melassa wnetrze i wygląda na niedobale wymieszany krem. Mamy zamiar obejrzeć go z bliska.

10.VI — Czwartek.

Mgła, mgła, mgła. Po wieczornym wypadzie zdecydowaliśmy się zająć obóz pod lodowcem, w miejscu gdzie J. Golcz wyszedł na Plateau Stanley. Wrócił o zmierzchu, chwilejąc się ze zmęczenia, gdy zaniepokojeni podeszliśmy na piarżosko pokryte mchem. Z

MICHAŁ MAKOWSKI

drogi jako przebył i z opowiadania wynika, że dotarł do Plateau. W tym samym czasie my dokonaliśmy wywiadu w kierunku północno-wschodnim, penetrując wyście na Plateau poprzez skalną grań. Tam wytyliśmy za Thumb'em (Keiuk) dwa jeziora, ciche i zatopione we mgle i zadumie.

Zimna mgła przenika do koliby. — „Nie widziasz jezior?“ — Nie, nie widział, szedł poomacku po mokrej skałe, potem w lodowcu. Padają zapytania niecierpliwe, wyjaśniające, wytrwale; z pewnością byliśmy blisko siebie! Odgaliśmy kto dotarł wyżej, czyja droga wygodniejsza! Nasze podejście jest łatwiej dostępne, wyniesienie namiotu nie nastreca trudności, w pobliżu woda do picia i drzewo na opał. — Nie, nie nie widział, mgła; do li-ni lodowca towarzyszył boy Maseraki, co świadczy o braku trudności.

Ruszyliśmy na punkt wyjściowy J. Golca. Boye ciągnący namiot i ekwipunek, po kilkudziesięciu metrach śniegu, oczekującego wody i mchem, odmówił dalszego marszu. Widać strach w oczach; chcą nie chcą, rozkładamy obóz na piargu, dół, nerwowy. Czekaj nas, zanim wejdziemy w lodowiec, dwugodzinna wspinaczka.

11.VI — Piątek.

Śnieg, który rozpoczął padać poprzedniego wieczora, pada i rankiem dzisiejszego dnia. Zimno, wilgotno, katar, kaszel, wszyscy szkamy. Golcz, po dokonany wypadzie, wygląda i leży jak trup; tkwimy w śpiworach do samego południa. Jak długo będziemy leżeć? Nawet nie czynimy planów, chociaż chciałem spałowiśmy potrzebne graty. Namiot kurzy od pary i dymu z ognia, w który Maseraki dmucha z zapałem.

Maseraki jest dzielny boyem, pomimo swoich czterdziestu lat. Podczas rozpoznania

WITOLD DOMAŃSKI

Już od kilku dni nasza kolumna jest w drodze. Pełźnie leniwie, lecz nieustrudzenie. Pożarła już Mały Zab, przepelzała przez oazy daktylowe Babuquy i właśnie przewierca się przez Bagdad. Wszystko, co widzimy, oglądamy po raz ostatni. Nie chcemy więcej znać Mezopotamii.

Patrz, mongole, na te babilońskie ziemie, co ci dały w kół.

„Mongol“, — to przysadkowaty strzelec, kmić z pod Gniezna, rolnik z dziada pradziada. Nie mówi, bo żuje pracownicę pajdę chleba z bekonem. Młascze przy tym głośno, a jego wyblakłe niebieskie oczy spoglądają beznamiętnie na hustającą się lampę. Tacy nie zapuszczają głęboko korzeni w obcą glebę.

Starszy strzelec, dziecko Grochowa, zaniechał konwersacji z mrukami i wyjął z zanadtra wytuszoną fotografię kobiety w mundurze wojskowym, przylgając się jej lubieżnie i drbiąc równocześnie w zębach.

Już ją się wypuszczę w Palestynie, — rzucił w przestrzeń, jakby pod adresem miesięcy, zmarnowanych w pustyni.

Pełźnie, pełźnie nasza kolumna przez rozszargotany Bagdad. O, jakże zły gust miałeś, Sindbadzie-Zęglarzu:

„Wonny, słoneczny poranek jaśniał w czystych niebiosach, gdy konno mknął po ulicach Bagdadu, zdążając popśpiesznie do mego pałacu“.

„Z Balsory udałem się konno wprost do Bagdadu. Widok miasta rodzinnego napenił mnie radością...“

— Dokąd mnie prowadzisz? — spytała po chwili.

— Do Bagdadu, — odrzekłem. — Czy masz tam pałac? — Mam. — Czy wygodny? — O, bardzo wygodny. — Czy z otomaną i różowym oświetle-niem? — Znajdzie się i otomana i różowe oświe-tlenie. Otoczę ciebie, najdroższa, zbytkiem i przepychem.

„Stary żgarz, ten Sindbad. Bagdad to miasto straszne. Takie miasto z trudem moż-na jeszcze znieść w pierwszym roku wojny, ale nigdy w czwartym. Po ulicy Al Rashida człapią ciężkie, podkute butyory żołnierskie. Wszędzie roją się istoty w mundurach khaki, ciernie dusze, różnójzyczne, w jednakowym opakowaniu. Jest ich tysiące. Zapemniają skie-py, kupują papierosy, pomarańcze, pią kupu-jeżdzą dorozkami, toczą się w kinach i restaura-cjach, oglądają się za kobietami, których tu jest jedna na pięćset.

O Bagdadzie, miasto khaki, miasto ar-kusza papieru za dwieście filów, kieliszka wódka za pół dinara, krzywe zwierciadło wyli-lizacji, boczno szlaków światowych. Trzeba

wyłązi z Golcem aż pod lodowice i instynktem wiedziony wyprowadzić siebie i jego spośród mgły na prawidłowy kierunek. Należy przypuszczać, że przedstawił swym towarzyszom wspinaczkę w nazbyt bohaterskim świetle; spowodował strąk, który zmusił nas do założenia obozu na piargu. Jednak on jeden zdecydował się pozostać w namiocie pod ścianą. Teraz siedzi przy ogniu, drząc z chłodu, ką-sającego w plecy, bowiem nikt nie odbiera mu wiary, że dobry ogień napelni żarem jego ciało. Smutny, skarży się na padający śnieg: „baridi bwana“ — i wskazuje na opuchnięte stopy, darte reumatyzmem. Otrzymuje juto-wo worek, próżny siolk z marmelady, przed-miot podziwu i cichej zawiesi innych, zbędne puszek z konserw, przedstawiające bogactwo w czarnych wioskach. Przyjmuje dary z powa-gą, przynależną jego wiekowi, doceniając w pełni znaczenie otrzymanych prezentów; ostrożnie, bananowym liściem owija siolk, aby nie uszkodził barwnej etykiety, przedstawiającej martwą naturę z poziomek i agrestu; z namyślnym spożerania na pustą flaszkę i przenosi oczy na nietukącej się tytkę.

Nasza sąsiadka, mała sikława przed chwilą jeszcze szumiąca, uciicha. Mróz, jutro będzie mrowna pogoda.

12.VI — Sobota.

Śnieg padał całą noc, dach namiotu ze-stężywał od mrozu. Rankiem promyzelek siolca upadł do wnętrza i zastał nas czujnych. Ubieraliśmy się szybko, nie tak jednak śpiesznie, aby urzucił sennie, które zdążyło schować się za mgłami. Podchodziły do nas, ciepłe, wilgotne. Śnieg leżał w zagłębieniach skał, na trawach, mroź ściał wodę w „tynie“, lód lśnił na skalnych pękach.

Pierwsze kroki zdążają w żlebk osłigły, mokry od topniejącego śniegu, wysłany

mongole. Niedobrze się robi słuchacz tego śkia-nia.

Mongol drapie się w rozezochraną czupry-nę i ziewa.

Jedzie nasz konwój, długa kielbasa, czy — jak kto woli — wąż, przez pustynię, i złote wieże Bagdadu zapadły już od kilku dni w przeszłość bezpowrotną. Równina jest gładka jak arkusz papieru. Krajobraz żaden. Przewiduję takie rozmowy pomiędzy uczestnikami konwoju:

— Zabierają się z tym śmietnikiem, ty mongole, ty buzuluku.

— Tylko nie buzuluku. Pare krusyn spa-ło mu na mundur i gado. Patrzcie go, hrabia.

Strzelec z pod Gniezna niemrawym ruchem zgarnia resztki jedzenia wprost na podłogę. W powietrzu czuć woń potu i czosnku.

Mysle, że Bagdad ma to do siebie, że im dalej jest się od niego, tym bardziej upodoba-nia się do bajejnej stolicy Wschodu. Im się jest go bliżej, tym szybciej czar przyska. Taka rozmowa:

— Widziałem w Polsce „Złodzieję z Bagdadu“. Piękny obraz. Bagdad przedstawiał się na nim zupełnie inaczej...

— Bo teraz widzimy go w nowej wersji...

— Hopaj siunaj dana, — Wczoraj spałem na podłodze, — Dzisiaj w łóżku siana...

Te przypowieści dałoby się zaktualizować o tyle, że wczoraj nocowaliśmy w Iraku, dziś w Transjordanii, a jutro zaśniemy w Palestynie. Za każdym razem na ziemi. Za każdym razem w innym klimacie. W Iraku powietrze było gorące i suche, w Transjordanii suche i zimne, a w Palestynie ciepłe i wilgotne. Zresztą i tak wytrzymamy wszystko, skoro przetrzymaliśmy Irak w lipcu.

— Wytarbię swój kinol, ty żłobie, ty

ZDZIŚŁAW BRONCEL

L A S

p. Beacie Obertyńskiej

Padają lata niczym pnie
Stracone w mech stuleci —
leż drzew liczy życie twe,
Ze tak w nim słońce świeci?

le poświęcać młodych brzoź,
Panięskich oich i sosen,
By ci pomiędzy drzewa niósł
Słoneczny blask swą strofę —

Nie słyszysz, głucha, że ci tną
Najmłodsze w drzewostanach —
Tak ci południe zielną grą
Na leśnych gra organach —

Tak ci objęła wierszy dłoń
(nic nie widział, ślepa! —
jak dzień, mijając, w zmierzchu skroń
Srebrzystą nić nawleka) —

Tak ci uwodzi dziwny sens,
Który nad tobą rośnie,

mchem, trzymającym się skał żywotnością roślinności Ruwenzori. Poprzed Saucapan od Caroline (Patelnia Karoliny), po brzegi wypłonią śniegiem, gwoździe butów ślizgały się z kominą na grzędę, z grzedy ścierały swą ostrość w kominie. Łód, cienką warstwą po-krywający skały, i woda z topniejącego śniegu, zbiegała w zagłębieniach chwyty, przedwsta-wiały się zgrabiętym palcem. Teraz dopiero rozumieć, dlaczego boje obawiali się pójść tą drogą; jest ślisko i niebezpieczne.

Na buli, u stóp lodowca zegar wskazywał dwunastą. We mgłę otworzy się okno i opodał w dole widniała podejściowa droga, tyczna przez Małego Jerzego i mnie; trzy cenne go-dziny zostały stracone na przejście skał! Na buli spiwory, płachta, jedynie wzięte na wy-padek biwaku zostały za nami w parnej mgłę. Gdzieś, wysoko czuliśmy słońce, czuł jego ciepło śnieg świeżo spadał, drobnymi kulkami toczący się po lodowcu. Spływał ku nam ostro nachylony, wyżej najeżony zerkami serraków, nietknięty stopą ludzką. W dolinie, o ścianach splukanych lodowcem wyglądały dwa jeziora, Jeziora Dwóch Iren — Lakes of Two Irenes.

Szybciej, szybciej! Ostro kolce raków wgrzębiły się w śnieg. Przedem idzie J. Golcz, odcyfrowujący swe poprzednie ślady, przysypane śniegiem. Idzie jak maszyna, nieczuły na wysokość, mnie kapeluszu uciśka głowę; nie, to 4500 metrów. Jerzy Skolimowski kroczy ostatni, skupiony. Przy serraku, pionowej ze-rwie lodowcowej, rozwierającej się nad szeze-linę, rozwija się lina, sisalowa lina. Golcz przechodzi przez serrak swego imienia wpraw-nie, zreszcie. I znówu labirynt ostrych, krętych trawersów; wśród szczełzin i zew: mgła, ciepła, parna mgła, gęsta jak wata, otula, pie-czowiecicie, dokładnie, ślepo. Serca biją mocniej, mocniej, prosząc o odpoczynek. Stoimy zagu-

bieli wśród lodowych wień, sterczących jak bastiony szklanej góry. — „Zakos w prawo, na Margueritte!“

Raki orzą śnieg, wgrzają się w lód, coraz stromiej i stromiej. Słońce przebiega mgłę pro-mieniami ostrymi, jak grot, oczy boją od blas-ku. W lewo, na szerokim Plateau, ze śnieżnej białosci wysterkają szczyty, małe, brudne czarnościan ścian skalnych. Moebius, Savoia, Elena. W prawo, nadwieszona kopuła, baniasta, spe-kana. Mgła zachodzi na oczy, wszystko znikła, i zaraz blask słoneczny bije w żrenice; gdzie jesteśmy, gdzie Margueritte? Błądzimy woko-ło, wychylamy się w dół przez mroczną mgłę ku dalekiemu Kongu. W dali widnieje jezioro o szmaragdowym dnie, oprawione granatem. Margueritte? Mówią opisy i ukazują fotogra-fie czyste, niezbrukany nagą skałą, śnieżną, strzelasty kościół. W prawo od nas, wyrasta góra, otulona śniegiem, podparta smukłymi, kolumnowych kształtów lodowymi zerkami: z pewnością, to jest Margueritte!

Wpół do trzeciej. Trzy samotne plecak zabłądziły się w śniegu, leżące o trzy kęsy ceko-lady. Rozpoczęto się chytne, misterne po-djęcie, mozolne stromizną zew, kominów, śnieżnych buli. Stopy pocięły, starsi się biel kopuły, zawieszoną na lodowych soplach. To nie szczyt! Nagi, wypłoniły stołcem południa wierzchołek dzieli od kopuły osnieżona grań, wąska i zamknięta jak kalenka gotyckiego kościoła. To Aleksandra, bliźniacza siostra Margueritte! Oczy z zawodem patrz w nagle odsłonięty widok, mgła ucieka przed stołcem, a po drugiej stronie przełęcz wyrósł osnieżony szczyt Margueritte. Z tyłu stróżuje Albert. Z Margueritte spływa wspaniała szata, utka-na ze zwałisk zimnych brzy, pokryta koronką szczełzin, obszyta falbaną pienistych zew, bę-

kitnych od mrozu. Wiatry wylażyły śnieżne pole przełęcz i przewiesiły je na cienistej stronie pomocy jak grzywkę na czole staro-monej damy. W morzu kolorowych chmur pływają szczyty; Emanuel, Johnston, Jolan-da, Emin, Baker, błyskają lody wierzchołków, siedzą na kępach od góńca skałe Alek-sandry. Trzeba wracać: wpół do piątej! W przećwim wypadku czeka nas noc na lo-dowcu. Duże kroki zbiegają w dół, czczo i nogi zwiotczały. Popod nawisem rozwarła się głucho szczełlina o skalnym dnie, ciepła mgła ulata od zimnych ścian, wyrasta stromość obrzeżona doliną urwistych skał. Gdzieś, blisko, zerwał się szum, odezwał się tędy łos-koł lawiny, wytrysły kłęby śniegu, white między baszty serraków; — „goicy“, made-moiselle Aleksandre, biegań za nami“ — ktoś mówi.

Serrak Golca okazał przy zejściu swe trud-ności techniczne. Pionową ścianę, złożoną z gru-bych ziarn lodowych, głębiej przechodzącą w czysty lód, rąbamy czekaniem. Może była zbyt zimna dla zmęczonych rąk i nóg. Tam z pew-nością Skolimowski zająłby się, siedząc dłu-gie minuty na ubezpieczeniu, tam przemroź-łem palce nogi. Wiem, że uderzaliśmy nogą o nogę, aby ostrywać śnieg, wbiły między kolce raków. Może już wtedy było wilgotno w butach?

Szosta trzydziści; szarżuje. Po skałach zlatujemy w dół, obiegamy ciche stawki Ire-nek, mokry żlebk, wypełniony szumiącym po-tokiem, i wpadamy w las senecio. Trupy senecio, leżące bezwładnie w księżycowym świetle, plątały krok, żywe senecio chwytają za plecak, ręce, ubranie, mech usuwał się z pod stóp, gązły kładły się pod nogi: na kar-kach usiadło zmęczenie, dokuca głód. Gdzieś buchnął ogień i odezwał się krzyk. Obóz! Pocz-czyły Maseraki pamięta o danym przyrzecz-niu i podsyca ognisko. Noga stąpa po piarż-sku z wysiłkiem, raźniej.

Ogromne ilości herbaty leją się w skur-czone żołądki; spada, za wszelką cenę spada!

13.VI — Niedziela.

Namiot został zwinięty wśród padające-go śniegu, ruszamy z powrotem. Mgła, mgła. Schodzimy do Kigo przez błota i moczary po-głębione padającym na tej wysokości deszczem. Ciała czuje Aleksandra, jest ociepla-je zmęczenie. Płyną nowopowstałe strumyki, szmerzące pośród paproci i skrzypów, lobelia i senecio. Próbujemy skakać z kępy na kępe; z czasem przechodzi rezygnacja, nie warto. Musi być wilgotno do kolan, musi woda chlupać w butach.

14.VI — Poniedziałek.

Od Kigo przez Nnyamuleju i Kyanasabo topimy się w błocie. Po drodze Skolimowski szuka złota, i my z nim. Można je znaleźć wszędzie, na rozdeptanej ścieżce, na powierz-chni kamieni, w potoku. Jerzy poluje na „nuga-ty“ i znajduje; wymieniamy je, taksujemy. Ale czy to złoto? J. Golcz, który kiedyś otarł się o geologów, twierdzi, że tak. Nugaty, owi-nięte w zakatarzone chusteczki, znikają w kie-szeniach; — „na pamięć!“ U brzegów wez-branych potoków, huczących jak morze, przy tamach powstałych z głązów-olbrzymów, lśnią małe, zacisne zatoki. Wystarczy zanurzyć rękę, aby wydłagać skrzępy od złota piasek. Boye odwracają głowy obciążone plecakiem i patrzą na nas ze zdziwieniem: pocio moczyle ręce w zimnej wodzie? Nie wiedzą, że „bwa-ny“ chcą zapamiętać o błocie; nie rozumieją, dlaczego „bwańy“ poszli rankiem we mgłę i ogień, wrócili półną nocą zmęczeni i głodni, chociaż mają skrzynię pełne jedzenia. Nie wie-dzą, że „bwańy“ są na urlopie. — „Jak brzmi po swahili urlop?“ — pyta Jerzy.

Wieczorem świeższe oszały w Niny-a-bitabo; któryś z nich nasładowy gwizdek paro-wozu, i gwizdzie bez nabrania tchu. Przylgają się do niego deszczowe ptaki i fiukają bez przerwy; nie wiadomo, na deszcz czy na po-godę.

15.VI — Wtorek.

Na deszcz. Woda ścieka po czarnych cia-łach i boje idą szybko, śpiesząc się do domów, zbudowanych z bananowych liści; każdy cho-wa zaoszczędzoną rybę i groch, liczy w myśli zarobione szyling. Coraz pokrzykuje, może dla odstraszania dzikich zwierząt, bo widać świeże ślady słoń, olbrzymie wygnioły w miekłych trawach. Tibucumita nurza się w nich, zrywa gałązki podobne do kopru, wyku-skuje z pod krzaków grzyby-olbrzymy wraz z Maseraki, rozsądnym gospodarzem, nie wierzpięta, jak inni czarni chłopy; wypatrzą-ją zielsk i korzeni, smacznej przyprawo do bananowego piwa, a może smażonych bana-nowych kielbasek. Fiskliwy, babski głos Ma-seraki wybiega z pod tłumoka-namiotu, który dźwiga na głowie; brzęczy natrętnie jak ko-łnierz. — „Mazi bwana — woda, dużo wody!“

Dżungla dyszy wilgocią; mechy nasyciły się wodą; lobelia, nastrożony kaktus, potraż-snięty, opryskuje jak przysnied, kępy skrzypów nasienie nogę pienia się, olbrzymi-opuchły dżwig nie wietrzonym od lat, troję zmur-szałym i bardzo wilgotnym, utkanym z mchów dziesiątki odcieni koloru zielonego z przy-mieszają brzozy i błękitu. Rosną na nim drze-wa koszmarnych kształtów, otulone aksami-tem mchów, stoją flakony paproci, jaśnieją granitem

ZDZISŁAW BRONCEL

MALARSTWO RUCHOME?

NA MARGINESIE „FANTAZJI” WALTA DISNEY’A

„Fantazja” Walta Disney’a obiega cały świat, łącznie z partycykularem, który nosi nazwę Środkowego Wschodu. Wszędzie zdobywała wielkie powodzenie i wszędzie przyjmowano ją z wieloma zastrzeżeniami. Ale i ci, którzy entuzjastycznie się do niej przyłączyli, i ci, którzy oskarżają go o płaskość i pospolitost, idą na „Fantazję” po raz drugi, by przyjrzeć się dokładnie nowemu zjawisku i określić swój do niego stosunek. Dla wielu bowiem „Fantazja” w świecie filmu jest nowością, kto wie czy nie równą pojawieniu się pierwszego dźwiękowca. Jak istotą artystycznych przemian filmu mówionego było wyjście poza granice filmowości i szerokie podporządkowanie się prawom teatru, tak i „Fantazja” podporządkowuje film czynnikowi, który dotąd był w nim tylko elementem pomocniczym, t. j. muzyce. Disney odwrócił stosunek: nie muzyka ilustruje obraz, lecz obraz ilustruje dźwięki. Tego rodzaju przedstawienia formalne są zazwyczaj zapowiedzią pojawienia się nowego rodzaju sztuki.

Nic więc dziwnego, że tylu widzów uważnie obserwuje „Fantazję” i dyskutuje o niej. Są też i tacy, którzy pragną ją nie tyle zobaczyć, ile usłyszeć po raz trzeci: zamknąć oczy i poprostu słuchać znakomitego koncertu filadelfijskiej orkiestry pod dyrykcją Leopolda Stokowskiego. Ten gest jest może najślisniej wyrażoną krytyką „Fantazji” i gotówby dowodzić, że w zakresie muzyki ludzie wolą pozostać indywidualistami; mieć swoje własne wizje barwne, czy też wogóle słuchać bez żadnego komentarza wzrokowego.

Czymże jest owa osobliwa „Fantazja”? Ilustracja muzyki, baletem fantastycznych postaci, disney’owskich karzełków, słońców, kaczorów, myszek? Czy może muzyką, wypowiedzianą językiem malarstwa? Trudno określić właściwe intencje twórcy filmu. Sądząc z krótkiego objaśnienia, jakie już na wstępie wygłasza nudnawy pan we fraku, jest to dowolnie rozwijana na ekranie fantastyczna wizja, wywołana muzyką. Przyjmuje ona trojaki postać: raz opowie baśń, która jest treścią literacką, czy też tylko literacką genezą utworu muzycznego (Ducas: „Uczeń czarnoksiężnika”), kiedy indziej snuć będzie obraz na temat, poddany dźwiękami — lub może tylko tytułem utworu — (Mussorgski: „Noc na Łysej Górze”, Schubert „Ave Maria”), rozegra feeryczny balet przy muzyce Czajkowskiego, albo wreszcie spróbuje stać się kompozycją abstrakcyjną, połączeniem linii, kształtów i barw, nie wyrażających żadnych treści pojęciowych (przy muzyce Bacha).

Na estradę wstępuje zjawiskowo oświetlona orkiestra, na podium w blasku barwnych reflektorów wyrasta sylweta Stokowskiego, który jawi się jak tytan, mający wyzwolić świat czarów — słyszymy pierwsze tony i rozpoczyna się orgia barw, światła i cieni.

Cokolwiek dałoby się powiedzieć o barwach „Fantazji”, o chybionych często pomysłach interpretacyjnych, film Disney’a na tle nuzącego realizmizmu sztuki jest przeżyciem odświeżającym. Chwilami towarzyszy mu nasza irytacja, ale chwilami — zachwyt. Czujemy tę samą ulgę, to samo odetchnięcie od ucisku sklasyfikowanej, trójwymiarowej rzeczywistości, jak przy jego uroczym bajeczkach, wyświetlanych nad program pod nazwą „Silly symphonies” i które są jakby przypomnieniem, że jeszcze istnieje ludzka fantazja.

I właściwie większość fragmentów „Fantazji” nie odbiega zbyt daleko od tamtych kolorowych, pełnych ruchu, obrazków. „Uczeń czarnoksiężnika” mógłby z powodzeniem stanowić jeden z disney’owskich dodatków z Mickey Mouse i niewielu domyśliłoby się jak ważną rolę gra muzyka w tej anegdocie. To znak — że w próbie Disney’a przeważa pierwotny instynkt, a nie współtwórca, i że wobec tego należy najpierw spojrzeć na „Fantazję” od strony popularnych środków ilustrowania muzyki.

Takim środkiem jest prawie wyłącznie taniec. Nowoczesny rozwój tańca widowiskowego zaczyna się od klasycznego baletu, który z początku oddaje tylko rytm muzyczny i wymaga specjalnie napisanej muzyki baletowej.

Rozbicie kanonów tańca klasycznego, powstanie tańca wyzwolonego, rodu muzyki ruchu, transponująca i komentująca muzykę dźwięku. Bardzo szybko, w ślad za rozwojem środków technicznych teatru i inscenizacji teatru reinhardtowskiego, zmienia się ona w harmonię ruchomych kształtów i barw. Twórcy tanecznych układów baletu musi mieć razem poczucie i muzyczne i malarskie, życie dźwięków zamieniać w życie obrazu. Odtąd już każdy utwór muzyczny może być przełożony na język tańca: od oratorium Haendla począwszy, na nowoczesnej symfonii Gershwna kończąc.

Wielkie zespoły taneczne kuszą się o odzwierciedlenie utworów symfonicznych. Rozrost sztuki dekoracyjnej, wydoskonalenie umiejętności operowania światłem, wykorzystanie głosu przez Reinhardta, otwierają coraz to nowe możliwości odtwarzania muzyki przez balet. Korowód taneczny, wyodrębniony kostiumem i światłem, staje się plastycznym równoważnikiem muzycznego tematu, kontrpunkt ożywa w tanecznych grupach.

Czemuż tego nie sfotografować, nie przenieść na taśmę filmową? Nie jest przypadkiem, iż właśnie twórca scenicznych feeryj, Rein-

hardt, pierwszy próbuje dać pełnometrażowy balet filmowy, jakim właściwie jest jego inscenizacja „Snu nocy letniej” dla wytwórni Warner Bros. Próba nie zyskuje powodzenia, ponieważ brak jej barwy kostiumu i barwnego światła — balet teatralny dzięki swej kolorystyce wciąż jeszcze góruje nad filmem.

Ale gdy nadejdzie film kolorowy, upadnie ostatnia przeszkoda jeśli pominąć pierwiastek fantastyczny. Barwne balety w filmach rewolucyjnie są prawie tym samym, co niektóre fragmenty „Fantazji”. Tylko że Disney, podejmując balet filmowy, sięga do muzyki poważnej, i to zwraca na niego uwagę. Dalej, operując filmem rysunkowym, ustokrotnie możliwości inscenizacyjne, doprowadzając je do granic fantastycznej skali. Mogliśmy jednak disney’owską transpozycję „Ave Maria”, czy satanistycznego sabbatu Mussorgskiego otrzymać równie dobrze i w teatrze, gdyby tylko teatr posiadał tak cudowne maszyny, jak cudowne są środki filmów rysunkowych. Czyli poprostu, gdyby teatr — był filmem...

Lecz to jest jedynie skalą techniki formy, a nie jej zasadniczą przemianą. Istota odrębności pomysłów disney’owskich wyrasta z jednego z zasadniczych źródeł estetyki filmowej: teatr pokazuje człowieka, film człowieka i materię. Disney ożywia więc rzeczy materialne i jego balet filmowy jest bogatszy o całą fantastykę żywego i martwego świata przyrody. Taneczna groteska porusza motyli i konwie, tańczą motyle, liście drzew, eteryczne ważki, nieprawdopodobne ryby, tańczą woda, chmury, powietrze, światło. Znamiennym dowodem baletowego podłoża koncepcji Disney’a i dużej odległości od czystej malarskiej abstrakcji jest ciągła tendencja zamiany

przedmiotów, zwierząt, owadów i roślin, w figury ludzkie dla uzyskania większej swobody i wyrazistości tanecznych ruchów.

Ten balet filmowy niewiele ma wspólnego z przemianą muzyki na język wrażeń wzrokowych, jest czysto ilustracyjny, ale to nie umniejsza w niczym trzech rzeczy: że jest on w filmie odświeżającą i szczerliwą nowością, że wielu ludziom ułatwia uchwycenie linii kompozycyjnych muzycznego utworu, że rozwija świeżą dziedzinę wrażeń interesujących i przyjemnych.

W ślad za „Uczniem czarnoksiężnika”, za Mussorgskim, Schubertem, powinny pojsz serie tańców węgierskich Brahmsa, norweskich — Griega, symfonia hiszpańska Lalo, suita takie jak „Peer Gynt”, rapsodie Liszta — jeśli brać pod uwagę pierwsze z brzegu przykłady. Ach, możemy już sobie wyobrazić, co uczyni Disney z „Tańca Szkieletów” Saint-Saensa...

W każdym wypadku będzie tylko zagadnienie celności interpretacji, trafienia w odpowiedni diapazon uczuciowy, dostrojenia stopnia umiaru w ekscentryczności pomysłów. Nie można mieć pretensji do Disney’a, gdy 6 symfonia Beethovena nie składa się ze scen wiejskich, jakby tego wymagały podtytuły partytury „Pastoralnej”, ale jest olimpijską sielanką centaurow i „centaurzyc”. (Czy aby były takie panny?). Jest to dobre prawo swobody każdej koncepcji baletowej. Zresztą — zgodnie z intencjami wielkiego muzyka, część pierwszą ma nastrój poranku i powitania, część druga — bujnej radości życia, część trzecia — burzy i wracającej po zawierusze pogody. Przyczyną powszechnego niezadowolenia, ba! nawet oburzenia z ilustracji muzycznej do „Pastoralnej” jest nieoczekiwana

CUDA ALUMINIOWE

Nie tak dawno nowiutki pościgowiec marynarki Stanów Zjednoczonych oderwał się od pokładu lotniskowca i wzniósł się prawie pionowo w górę. Oficerowie z mikrofonami na uszach wsłuchiwali się, notując, w zapodania pilota, wykazując niezwykle osiągnięte poziomy. Aż wreszcie pełna miła ponad poziom, osiągając dotychczas przez ten typ samolotów, została przekroczona.

Dzień ten był dniem, otwierającym nową kartę w historii lotnictwa. Jedną zasadniczą zmianą zwiększyła moc amerykańskich motorów lotniczych chłodzonych powietrzem. Zmiana ta polegała na zastąpieniu lanych głowic cylindrowych na kute głowice, i została umożliwiona, dzięki wytworzeniu specjalnego stopu glinowego, jak również przez opracowanie właściwych metod produkcji.

Zapotrzebowanie czasu wojny na glin jest tak wielkie, iż w 1943 r. Stany Zjednoczone będą produkować ponad milion ton, czyli 5 razy ponad swą produkcję z 1939 r. i 50% ponad światową przedwojenną produkcję. Wytworzenie tych fantastycznych ilości glinu będzie wymagało ilości prądu elektrycznego, równającej się ponad połowę zużycia całego prądu w Stanach Zjednoczonych dla wszelkich celów, zaledwie dwa lata temu.

Glin zawdzięcza swe znaczenie w technice tej okoliczności, iż jego ciężar gatunkowy jest za ledwie 1/3 ciężaru stali, miedzi lub cynku, jak również różnorodności jego zastosowania. Może być on używany zarówno do aparatury elektrycznej w formie tak cienkiego drutu, iż kilogram tego drutu będzie posiadał długość równą. Właściwie przygotowany stop glinowy ma wytrzymałość stali. Dzięki tym właściwościom stał się on niezbędny nie tylko przy budowie płatowców, lecz i statków wojennych.

Nowe kute głowice dla motorów lotniczych mają dwukrotnie wyższą wytrzymałość od dotychczasowej głowicy lanej i zapewniają motorom kompresję tak wysoką, iż należy spodziewać się znacznego zwiększenia szybkości zarówno w bombowcach, jak i w latających fortcach.

Inne zastosowanie aluminium, które winno obniżyć martwą wagę latających fortce wydatnie, jest nowe próżne śmigło.

Niemcy w swym zastosowaniu aluminium do płatowców pozostali znacznie w tyle za Stanami Zjednoczonymi. Gdy niedawno amerykańscy inżynierowie badali jeden z ostatnich modeli Messerschmitta 110, który został zestrzelony w stanie nienużkodzonym, byli zdumieni, iż nie znaleziono w nim poza ramą motoru i pełnymi śmigłami żadnych części kutych z glinu. Co się zaś tyczy rami Messerschmitta, to była ona skonstruowana z blach aluminium wyciąganych. Ta okoliczność, zwiększając wagę płatowca, pomniejsza jego szybkość, ogranicza możliwości opancerzenia i uzbrojenia.

Glin jest najpospolitszym pierwiastkiem, tworzy on jedną dwunastą skorupy ziemi, lecz nigdy nie znajduje się w stanie niezwiązany jako metal czysty. Dlatego też otrzymanie go w stanie niezwiązany wymaga kosztownych zabiegów produkcyjnych. Od dnia gdy został odkryty w 1825 r. uczeni próbowali różnorodnych metod, lecz jeszcze w 1880 r. produkcja jego była w skali laboratoryjnej i nadmiernie kosztowna.

Jeden z wykładowców w Stanach Zjednoczonych podnosił zalety glinu i nieprzecieżone trudności, piętrzące się przed wysiłkami, mającymi na celu obniżenie kosztów produkcji, wynoszącymi wtedy 12-16 dolarów za kilogram. „Człowiek, który odkrył proces, dzięki któremu glin będzie mógł być wytwarzany na skalę przemysłową” — mówił, — „nie tylko będzie dobroczyńcą ludności, lecz i sam zrobi olbrzymią majątek”. Charles Martin Hall, młody syn proboszcza, wyszedł z sali wykładowej wzburzony. Dwa lata pracował w prymitywnym swym laboratorium w

szopie u swego ojca, aż nareszcie stwierdził, że roztopiony cryolit rozpuszcza tlenek glinu i że rozkład ten jest przewodnikiem prądu elektrycznego. A następnie, że rozkład ten w tyglu pod wpływem prądu elektrycznego daje glin i tlen. W ten sposób Hall pierwszy wyprodukował czysty glin po cenie dostępnej dla przemysłu.

W 1888 r. powstała Aluminium Company of America i już w kilka miesięcy później glin był w sprzedaży po 10 dolarów za kilogram, 2 lata później cena spadła na 4 dolary, dziś cena jest 30 centów.

W celu osiągnięcia produkcji, umożliwiającej tak niskie ceny, coraz to nowe zastosowania dla glinu musiały być znalezione, jak naprzykład granulowany glin dla pochłaniania tlenu w stopionej stali, (tym samym zapobiegając szkodom w odlewach), lodzie z glinu, farba aluminiowa, papier aluminiowy, elektryczne kable, różne części dla konstrukcji mostowych, a nawet meble z glinu.

Do ostatnich czasów Aluminium Company of America było jedynym producentem surowego glinu w Stanach Zjednoczonych. Spółka ta przetrwała corocznie milion dolarów na cele badawcze. Ta dalekowzroczność zapewniła Stanom Zjednoczonym przewagę w zaopatrzeniu w ten podstawowy surowiec wojenny w czasie wojny.

Aluminium Company of America wynalazła nowy lekki stop, którego skład jest zazdrośnie strzeżoną tajemnicą. Posiada on wytrzymałości znacznie wyższe od jakiegokolwiek bądź innego stopu glinowego. Gdy zastosowanie tego stopu będzie urzeczywistnione przy różnego typu płatowcach wojennych, martwa ich waga ulegnie znacznemu pomniejszeniu.

Puste śmigło jest wynalazkiem wręcz sensacyjnym. Początkowo wydawało się niemożliwym oducie próżnego śmigła. O ile jest sprawą dość prostą wytoczenie stożkowego otworu w całej długości surowego odlewu, to jak można zapobiec zamknięciu się tego otworu pod uderzeniem dwunasto-tonowego młota? Dziś specjalny przyrząd, opracowany przez Aluminium Company of America, zapobiega temu i umożliwia oducie próżnych śmigieł, których waga jest o połowę mniejsza od śmigieł pełnych.

Kute głowice cylindrowe nastrożają przy wykonaniu duże trudności, albowiem poza odpornością na znaczne ciśnienia wewnętrzne, głowica motoru spalinyowego musi być zaopatrzona w żebra chłodzące, celem zapewnienia intensywnego chłodzenia. Na głowicach lanych żebra takie osadzone są co 5 mm. Współpracując z Wright Aeronautical Corporation, Aluminium Company opracowała metodę kucia surowych głowic, zaś Wright zbudowała maszynę do nacinania żebier, umieszczonych co 3,5 mm. W rezultacie motory te są lżejsze, wydajniejsze i umożliwiają płatowcom wznoszenie się znacznie wyżej bez obawy przegrzania motoru.

Lekkie metale, glin i magnezjum, mają nieograniczone możliwości w zastosowaniu w okresie powojennym do statków, kolei, autobusów i ciężarówek. Oszczędność na wadze powoduje znaczne oszczędności w eksploatacji. Tak naprzykład tona, oszczędzona w nadbudowie statku, daje oszczędność w wadze kadłuba, a więc mniejszą maszynę napędową, a więc mniej opadu do napędu.

Lekkie metale, które wchodzić teraz w każdą dziedzinę naszego życia, staną się naszymi codziennymi towarzyszami. Samochody będą miały lżejsze drzwi, lżejsze osie i motory, w rolnictwie znajdą zastosowanie lżejsze narzędzia. Z glinu można będzie robić lekkie odrzwia i okna, z falistego glinu powstaną nierdzewne pokrycia dachowe. Gdy po wojnie gigantyczne transkontynentalne i transoceaniczne samoloty zaczną kursować dzięki nowym stopom glinowym, jak puste śmigła, głowice i.t.d. przenieś to ogromne zwiększenie nośności tych samolotów i obniżenie frachtów i kosztów przejazdu.

trywalność rysunku i barw, niespotykana na ogół u Disney’a naiwność i płaskość pomysłów.

Ze względu na działanie filmowego zbliżenia, każdy balet filmowy, realny czy fantastyczny, będzie podlegał ostrej krytyce malarskiej. Jak całość filmu musi być kompozycją baletową, harmonią ruchów i muzyki, tak każdy poszczególny moment, każda pojedyncza „klatka” — mówiąc językiem technicznym — musi być estetyczną kompozycją malarską. Tu się Disney potknął. Nie sposób łączyć barw i techniki grafiki reklamowej z natchnioną tematyką muzyczną Beethovena, nie sposób również używać tak zbanalizowanej formy malarskiej w próbach rozwijania filmowej sztuki.

Od tego ogólnego schematu „Fantazji” odbiega część pierwsza, najtrudniejsza dla nieprzygotowanego widza. Jest to fragment, poświęcony ekstatycznej muzyce Bacha — fragment prawdziwie eksperymentalny, próba filmu abstrakcyjnego, oddającego walor muzyczny walorem malarskim. Rozpoczyna się ona wstępem: ekran pokazuje w różnych oświetleniach — niebieskich i zielonych dla skrzypiec, czerwonych i żółtych dla puzonów, waltorni i trąbek — poszczególne grupy orkiestry, których „głos” wchodzi w dany moment w ogólną harmonię. Ten pomysł jest prostą kopią zwyczaju amerykańskiego orkiestr jazzowych, w których wstają i siadają muzycy, grający poszczególne partie. Sposób wysubtelniony na ekranie, byłby pożyteczny w szkołach przy tłumaczeniu budowy większych utworów muzycznych; przekonywany też jestem, że niewyrobionemu słuchaczowi orkiestry ułatwia on uchwycenie budowy formalnej utworu symfonicznego.

Lecz wkrótce potem Disney przechodzi do zupełnej abstrakcji — o ile do abstrakcji w obrazie jesteśmy w ogóle zdolni. Ekran zalewają zmienne światła, przeszywają srebrzyste błyski, kłębią się purpurowe fale, płyną na widza ciężka, gorejąca lawa. Jest to niewątpliwie niezwykle i niewątpliwie także nie leży w sferze czystej dowolności, lecz ma związek z muzyką Bacha.

Jaki jest stopień tego związku? W jednym z intermedii „Fantazji” Disney przedstawia nam żartobliwie pewną skromną osobę: „dźwięk”. Zjawia się na ciemnym tle wąska, jasna kreseczka. Gdy zabrzmią skrzypce, kreska drży świetlicie i niebiesko, dla bębna — staje się pomarańczową falą o brązowych otonach i.t.d. Dotykamy na chwilę sedna zagadnienia: czy możliwe są ustalenia malarskich odpowiedników wartości muzycznych? Bo przecież dopiero wtedy moglibyśmy mówić poważnie o przekładzie muzyki na język kolorowego filmu. Oczywiście jest to fikcja, ponieważ muzyka jest sztuką samoistną i większość ludzi słucha jej dla samej czystej muzyki, dla odczuwania rozkoszy pewnych połączeń i pewnego następstwa dźwięków, bez ubocznych skojarzeń barwnych. Nawet reakcja uczuciowa przychodzi, o ile przychodzi w ogóle, jako objaw wtórny.

Wszystko to jednak nie zaprzecza możliwości stworzenia na ekranie nowej gałęzi sztuki raczej malarskiej, niż muzycznej — mianowicie: malarstwa ruchomego. „Fantazja” Disney’a na ogół przekonująca nas, iż moglibyśmy mu zawdzięczać oryginalne emocje artystyczne, doświadczać rozkoszy estetycznej o niespotykany natężeniu. Tym niemniej znów trzeba wrócić do problemu muzycznego, ponieważ film, nawet film „ruchomego malarstwa” nie znosi ciszy, nie potrafi być niemy i głuchy. Konieczny jest podkład muzyczny. Wynika stąd jasno, iż Disney’owski abstrakcyjny „ruchomy obraz” może się albo rozciągać jako tekst malarski do muzyki, tak jak poeta pisze słowa do istniejącej melodii, albo równie dobrze może oczekiwać dodania mu muzyki, tak jak poezja zamienia się w pieśń w pracy twórczej kompozytora.

Disney wybrał pierwszą możliwość, ponieważ jest technikiem malarstwa, a nie malarzem-twórcą. Wolno jednak oczekiwać, iż obydwie możliwości będą urzeczywistnione i że nadejdzie także autor, który swoje poczucie harmonii wyrażać będzie równocześnie i kongenialnie dźwiękiem i barwą.

Wysuwanie na plan pierwszy barwy wytwarza zdumienie, jakoby abstrakcje filmowe Disney’a wolne były od zagadnienia kształtu. Tak jak nie sposób tego zagadnienia wyeliminować z malarstwa, tak samo nie da się go usunąć z malarstwa ruchomego, z barwnego filmu. Gdzie zaś pozostaje kształt i ruch w połączeniu z muzyką, tam znów mamy zagadnienie tańca, co w końcu upoważnia do określenia „Fantazji” jako mniej lub bardziej malarskiego, mniej lub bardziej abstrakcyjnego baletu.

Zbliżone próby były robione w Polsce, rozwijane przez niemiecką awangardę filmową; w filmie barwnym zrealizowano jedną z rapsodii Liszta. Lecz dopiero „Fantazja” — dzięki podjęciu jej przez wielką wytwórnię — jest wyraźną zapowiedzią, iż jesteśmy niedaleko powstania sztuki tak odmiennej od muzyki i malarstwa, jak film odmienny jest od teatru: sztuki polegającej na organicznym zespoleniu ruchu barw i ruchu dźwięków. Narazie zaś — niech nas bawi disney’owska groteska, niech w nas wyzwała dziecinna pogoda i śmiech, poza tym patrzymy uważnie na symfonię kolorów przy akompaniamencie Bacha i — przymykajmy oczy, gdy prawdziwie chcemy słuchać muzyki...

OPINIE ANGIELSKIE 1812-1943

Dwa bardzo ciekawe artykuły znanego konserwatywnego pisma do Izby Gmin Sir *George'a Schustera* p. t. „Przemysł po wojnie” zamieścił „Times”. Biorąc za podstawę wskaźniki wydajności przed wojną w Niemczech, Stanach Zjednoczonych i Anglii, dochodzi Schuster do przekonania, że w zmienionych powojennych warunkach Anglia nie będzie w stanie wytrzymać konkurencji przemysłowej innych państw. Przeciętne wskaźniki wydajności pracy na głowę wynosiły przed wojną 100 dla Anglii, 109 dla Niemiec, a 227 dla Stanów Zjednoczonych. Choćby cyfry te są z natury rzeczy tylko przybliżone i wymagają podkładu i ilustracji warunków politycznych, społecznych, gospodarczych, psychologicznych i t. d., to jednak przeszło dwa razy większa wydajność Stanów Zjednoczonych świadczy o tym, że angielskie metody musiały być przestarzałe. Sir George Schuster obecnie obawia się, że Anglia, przedstawiając po wojnie swój przemysł na produkcję pokojową, może łatwo pozostać w tyle nie tylko za Stanami Zjednoczonymi, — w których przestawienie przemysłu na produkcję wojenną nie było tak totalne, — ale nawet poza Niemcami czy Rosją. Oba te kraje bowiem, wyniszczone przez wojnę i bombardowania, będą budowały swój przemysł od nowa, według najnowszych wskaźników technicznych, podczas gdy Anglia łatwo może ulec pokusie przerabiania istniejących — a więc przestarzałych — metod, fabryk, maszyn i t. d.

Artykuł ten, który miał głosić echa w Anglii, jest bardzo pouczający dla nas, mających sposobność obserwowania Anglii na „gorącym uczynku” pracy i twórczości. Konserwatysta — a zatem zwolennik nieskrępowanej przedsiębiorczości prywatnej — woła głośno i dobitnie na jamach najbardziej wpływowych dziś pisma Wielkiej Brytanii o planowanie wytwórczości powojennej.

Swego czasu, dość dawno temu, czytałem w jakimś piśmie francuskim następującą anegdotę: „Co mam kupić dla Johna na urodziny? — radzi się jeden Anglik drugiego Anglika. — Może książkę?” — „O nie, ma już jedną”, — brzmiała odpowiedź.

Anegdota ta jest najbardziej niegodziwym i perfidnym oszczerstwem, jakie kiedykolwiek wypowiedziano. I świadczy o bardzo powierzchownej znajomości Anglików. Anglicy nie są ekshibicjonistami. Nie afiszują się swymi talentami, zamiłowaniem czy zainteresowaniami. Znają znacznie subtelniejsze i skuteczniejsze sposoby propagandy i autoreklamy.

W angielskim domu — a nie mówię o domach drobnoniezbawnych, stanowiących większość angielskich „home'ów” — książka nie jest sztuką pokazową, a biblioteka nie jest dekoracją. Są książki. Widać ich nawet sporo, ale nie są one wystawione na pokaz, jak to bywało w snobizujących się „lepszych domach” polskich.

Masy książek, które się tutaj wydawało, — i mimo wojny i ograniczeń papieru — nadal się wydaje, — i nakłady, które przypływałyby o zawrót głowy polskich wydawców (może zresztą i przypływały?), zadają najdowodniej kłam tej dowiecipnej ale nieścisłej anegdocie. Następujące zestawienie przedstawia ilość nowych książek, ogłaszanych co roku od 1937 do 1941.

Powyższe zestawienie obrazuje nie tylko ilość książek, ale i tory, jakimi biegnie zainteresowa-

jest znacznie bardziej skomplikowana. Mortimer dzieli pisarzy francuskich na osiem grup, choć — jak sam zaznacza — i ten podział nie jest kompletny. Ci, którzy współpracują z Niemcami, czynią to ponieważ:

1. wojny są samobójcze dla Francji, liczebnie słabej, a Europa pod hegemonią niemiecką jest jedyną możliwością pokoju. Zresztą Niemcy z czasem przestaną być barbarzyńcami;

2. boją się komunizmu bardziej niż Niemiec;

3. uważają, że Ameryka jest groźniejsza niż Niemcy.

Zwolennicy Petain'a popierają go ponieważ:

4. faszyzm dał Niemcom siłę odwetu za klęskę 1918 r., więc wierzą, że i Francja może w ten sposób podnieść się z upadku;

5. Niemcy, Rosjanie, Anglicy i Amerykanie osłabiają się wzajemnie, a wówczas Francja może znowu stać się czynnikiem decydującym;

6. Anglicy przez swą pobłażliwość wobec Niemców spowodowali, iż zmarnowali wszelkie sposoby zatrzymania Hitlera, póki był czas. Nie mniej przyszłość Francji zależy od zwycięstwa Sprzymierzonych. Pomagają im po cichu, ale bez zjudeł.

Reszta, to są ci, którzy nie idą na żadne formy współpracy;

7. komuniści i

8. ci, którzy wiedzą, że choć Anglicy popelnili wiele błędów, i Francuzi nie byli bez grzechu. Są oni zatem zwolennikami współpracy francusko-angielskiej po wojnie.

Większość pisarzy francuskich należy do grup 7 i 8, ale wielu, zwłaszcza należących do bogatej warstwy mieszczańskiej, znajduje się w grupach 5 i 6. Malraux i Eluard to komuniści — grupa 7; Gide, Schlumberger, Mauriac, Bernanos, Soupault — to grupa 8; Claudel, Giraudoux i Valéry byli w grupach 5 i 6, ale obecnie skłaniają się ku grupie 8.

Najbardziej zdecydowani kolaboranci — Montherlant i Drieux la Rochelle należą prawdopodobnie do grupy 4. Ale taka Colette lub Giono, współpracujący z otwarciem pro-niemiecką „Nouvelle Revue Française”, już wymykają się z powyższej klasyfikacji. Colette pisze prawdopodobnie dlatego, że jej za to dobrze płacą. Giono — pacyfista i „conscientious objector”, zbyt naiwnie patrzy może na te sprawy. Chateaubriant (powieściopisarz), Ramon Fernandez i Celine byli faszyzmi — jeszcze przed wojną. Na faszyzm nawrócili się obecnie Chardonne, Abel Bonnard i Abel Hermon. Paul Morand występuje się Lavalowi. Z pisarzy, przebywających poza granicami Francji, zdecydowanymi zwolennikami oporu są dwaj czołowi pisarze katolicy: Bernanos i Maritain oraz André Breton i Jean Wahl. Jules Romains i André Maurois nie wypowiedzieli się jasno, mimo iż przebywają w Ameryce. Mortimer ma wiele do zarzucenia Maurois w związku z jego dużą popularnością w Anglii: spodziewał się po nim bardziej zdecydowanego stanowiska.

Najwyżej jednak stawia Mortimer tych pisarzy, którzy pod okupacją godnie reprezentują niezawisłość i powagę myśli francuskiej. Gide, Mauriac i Aragon to najwybitniejsi z nich, a zwłaszcza ich waga więcej niż dziesiątki „współpracujących”. Claudel, choć napisał ode na cześć Petain'a, zrehabilitował się swym szlachetnym listem do naczelnego rabina Francji.

	1937	1938	1939	1940	1941
Sztuka i muzyka	313	250	252	159	106
Biografie	789	855	689	444	356
Wychowawcze	1.337	1.341	1.350	658	340
Powieści i książki dla dzieci	6.694	6.153	5.525	4.764	2.862
Historia, geografia, podróże	1.207	1.213	1.145	718	492
Literatura	1.277	1.078	1.009	751	574
Religia	1.208	1.171	1.011	732	583
Słowniki itp.	418	404	349	225	117
Nauki ścisłe, medycyna, technika	1.920	1.845	1.773	1.250	907
Socjologia, prawo, polityka	1.455	1.504	869	1.099	1.140
Miscelanea	507	405	932	250	104
Łącznie	17.125	16.219	14.904	11.050	7.581

Mimo trudności — cenzura i brak papieru — ukazało się sporo nowych książek francuskich. Tomy wierszy wydali: Aragon, Eluard, Cocteau i Pierre Emmanuel. Cocteau napisał także sztukę wierszem. Powieści wydali: Colette, Giono, Ramuz, Marcel Aymé, Simonon i Paul Morand. Tomy studiów i monografii: Giono, Léon — Paul Fargue, Romain Rolland. Szczególnie śmiały i piękne są wiersze Aragon'a, wydane także obecnie w Anglii. (Oraz niedawno w Beyrucie, — przyp. red.). Wydał on dwa tomy „Le Creve-cœur” i „Les yeux d'Elsa”, w których śmiałość jest dowodem jego patriotyzmu.

Ale najciekawsze są zdaniem Mortimera te dzieła, które, nie zostały napisane. „La France n'a jamais plus beau visage que quand elle se tait. Sa grandeur est monumentale, bien davantage qu'oratoire: l'oratoire, l'éloquence, est toujours au contraire son danger. C'est qu'elle a le silence le plus expressif qui soit”.

Dominik Szczerbic.

ZYGMUNT MILEWSKI

NOCNY LOT

Świadomość zapada w świąteczną zegary.
Nie myślę, nie czuję, nie żyję.
Zaklinam się w stery, rozsiadam w lewary,
Nie jestem. Nie będę. Nie byłem.

Przepływam w przewodach, drzę igłą kompasu,
Ściągnami napięty w bowdenach,
Pociesza lub sztydzi mdły błysk pleksiglasu,
Gdy prutą noc oknem rozpiaram.

Zebrami tężeję w profilach kadłuba
I w nerwy maszyny swe wplatom,
Szczęk skurczem zaciskam się w płatów przegubach
I w bezdni czerń hukiem się wtracam.

W kołyszce bomb śmiercią zczajony w młot mściwy
Przez siną „ich” trwogę przenikam,
I krwią się przelewam w zbiornikach oliwy,
I sercem się tłukę w silnikach.

W słuchawkach zamknąwszy gotowość najczulszą,
Cel chwicie zaganiam w bomb drogi,
By nagły bomb pośpiech rwać w grom w czarnej głuszy,
Wyszarpnąć z niej krew w bryzg pożogi!...

W r. 1943 ukazało się nowe wydanie tłumaczenia angielskiego książki Eugeniusza Tarlé p. t. „Napoleon's Invasion of Russia” (*).

Tarlé jest jednym z czołowych historyków sowieckich. Książka jest niejednorodna: obok poważnego, naukowego nurtu większości rozdziałów, spotykamy ustępy jakby sztucznie do całości wtłoczone, o poziomie „Krótkiego Kursu WKP(b)” lub popularnej agitki. Tym nie mniej jest ona niezwykle interesująca i aktualna ze względu na historiozofię autora i ujęcie materiału, które umożliwia nowe próby modnego obecnie wyszukiwania analogii i ujawniania różnic historycznych. Książka została wydana w Rosji w r. 1937, co jeszcze bardziej podnosi jej wartość, gdyż czytając ją, mamy pewność, że fakty nie zostały naćmagnięte „ad tesam demonstrandum”.

Jakże szczupłe na dzisiejsze stosunki siły wyruszyły wówczas na podbój świata! Wielka Armia liczyła po przekroczeniu Niemna 380.000 bagietów a wojska rosyjskie Barclay'a i Bagrationa 153.000. Mniej niż liczyła obłąkana armia von Paulusa w bitwie stalingradzkiej, która była przecież tylko jednym z epizodów obecnej wojny. Cofając się armia napoleońska opuściła Moskwę w sile 110.000, Kutuzów ścigał ją wraz z 97.000 wojska. Linii frontu w obecnym tego słowa znaczeniu nie było. Dzisiaj front rozciąga się na przestrzeni od morza Łodowego do Czarnego, jako elastyczna ale nieprzerwana linia wojsk i fortyfikacji. Na mapkach, załączonych do książki Tarlégo, widzimy tylko cienkie linie dróg, którymi szły lub cofały się armie.

Sytuacja w Europie była niezwykle podobna do obecnej: cała Europa z wyjątkiem wyspiarskiej Anglii — zdobyta; w niektórych krajach „rządy marionetek”, w innych pobici królowie, drżący przed Wielkim Dyktatorem. Państwa podbite, jak Prusy i Austria, zmuszone do wzięcia udziału w kampanii i przysyłania 50.000 wojsk. Poważniejszą różnicę stanowiła Hiszpania, w której armia francuska (liczącej w r. 1812 od armii Napoleona), krwawoła od siedmiu z górą lat.

Dla Polaków imię Napoleona owiane jest romantyzmem, związane są z nim nazwiska księcia Józefa, Sułkowskiego i Dąbrowskiego, patrzymy nań przez pryzmat wielkich, choć niespełnionych nadziei. Nie zapominajmy jednak, że w oczach Europy był on ciemnicą i zbrodniarzem. Zniekształcone okrucy idei Wielkiej Rewolucji, które przynosił ujarzmionym ludom, były znikome w porównaniu z ogromem upokorzeń, jakie zadawał, i nieszczęść, jakie powodował. Wyzwał z pęt feudalizmu, aby nałożyć nowe jarzmo, aby spręgnąć całą Europę w jednym wysiłku: służenia cesarskiej maszynie wojennej.

Tarlé podkreśla w całej swej książce charakter narodowy wojen hiszpańskiej i rosyjskiej, a w ostatnim okresie napoleońskim — i całej Europy. Wojny prowadzone przeciw rewolucyjnym armiom francuskim — reakcyjne wojny królów — przekształciły się w walki w obronie niepodległości narodowej — przeciw imperializmowi Napoleona. Tarlé wielokrotnie przytacza wolę narodową i bohaterstwo powstańców hiszpańskich, które stały się pierwowzorem dla partyzantów rosyjskich, jak Denis Dawidow, lub kozacki ataman Płatow.

Szkoda tylko, że ani jednym słowem nie wspomina o narodowym charakterze powstań polskich, walczących za swoją sprawę narodową, o niepodległość Polski — z imperializmem rosyjskim. Natomiast twierdzi, że Polska miała wówczas sama cele imperialistyczne.

Polacy oczekiwali od Napoleona jakże wiele, otrzymali jakże mało. Księstwo Warszawskie, sztuczny twór, niezgodny do samodzielnego życia; ale i ten skrawek gotów był Napoleon sprzedać Aleksandrowi za cenę — bojkotu towarów angielskich, a w późniejszym okresie kampanii za cenę — honorowego pokoju.

Tarlé wykazuje, że Aleksander (który niedawno, w r. 1807, zawarł z Napoleonem pokój tyński, jakże żywo przypominający układ Ribbentrop-Mołotow) był zmuszony przez opinie publiczną, dla ratowania zagrożonego tronu, do podjęcia tej wojny i prowadzenia jej do końca.

Tarlé udowodnił na podstawie pamiętników i listów współczesnych, że Napoleon nie niósł ze sobą wyzwolenia chłopu rosyjskiego z pęt niewoli. Był przedstawicielem nowej klasy — burżuazji — i w każdym zdobytym kraju opierał się o mieszczaństwo. W Rosji, przewidując zbyt małe znaczenie burżuazji, szukał zawczasu kontaktu z bojarami i właścicielami ziemskimi. Napoleon bał się obudzenia wielkich mas ludu rosyjskiego, bał się rewolucji, której nie będzie mógł opanować — i nie tylko nie szedł z hasłami wyzwolenia, ale w poszczególnych wypadkach na początku kampanii krwawo tłumił samorządne ruchy wyzwolenie.

Poco Napoleon szedł do Rosji? Na analogiczne pytanie w stosunku do Hitlera odpowiada

*) *Eugene Tarlé. Napoleon's Invasion of Russia. 1812. London George Allen & Unwin Ltd. 1943. Str. 300.*

się: nafta Kaukazu, zboże Ukrainy. Napoleon zboża miał dość, a nafta była wówczas bez znaczenia. Chciał zmusić Aleksandra do bojkotu towarów angielskich, co już całej Europie z wyjątkiem Hiszpanii zdolał narzucić. Nie mogąc pobić Anglii w jej kraju, ani na morzu, ani w Egipcie — chciał ją pokonać w Rosji. Był u szczytu swej potęgi i przestał jasno rozumować. Nie doceniał znaczenia klimatu, wielkich przestrzeni, możliwości oporu. Szedł na Rosję wbrew opinii swego ambasadora, Caulaincourt, wbrew opinii swych generałów; lekceważył ich ostrzeżenia, gdy wskazywali mu na przebieg wojen rosyjskich Karola XII. „Nie przebrałem jeszcze żadnej bitwy w moim życiu... Karol popełniał błędy, których ja uniknę”.

Analogia z Hitlerem jest szczególnie jaskrawa w osobistych wypowiedziach obu dyktatorów, w ich wierze w niezwykłość sych armii, która była w obu wypadkach ostateczną sprężyną marszu na wschód.

Napoleon nigdy jasno nie sprecyzował swych głębszych motywów działania, ani też swych dalszych planów; przytaczane listy przeczą sobie nawzajem; dwukrotnie jednak powtarza się zdanie Napoleona: „Nie mówię mi, że z Moskwy jest daleko do Indii; Aleksander Wielki dalszą miał drogę. Po przyłączeniu do naszej armii wojsk rosyjskich — pójdziemy razem na Indie; a wtedy gmach potęgi handlowej Anglii rozpadnie się w gruzy”.

Ciekawe są uwagi autora na temat uposażenia rosyjskiej armii: „Nigdy, w okresie całej swej historii, uposażenie i uzbrojenie armii nie stało na tak wysokim i tak bliskim przeciwnika poziomie. W roku 1812 artyleria rosyjska dorównywała ilościowo francuskiej. Nowoczesnej broni dostarczała Anglia”. Nie pozbawione pikantii jest następujące zdanie: „Nie brakuje broni ani pieniędzy, albowiem Anglia jest zawsze hojna, gdy pragnie pobić swego wroga za pomocą obcych wojsk”. — Zdanie, zachowane wiernie w tłumaczeniu angielskim.

Autor podkreśla brak talentu strategicznego u Aleksandra, jak i u wszystkich Romanowych od czasu Piotra Wielkiego. Stąd — pisze — ich zamiłowanie do parad wojskowych. Tarlé opisuje mały znany epizod kampanii, który mógł się stać zgubny dla armii rosyjskiej. Otóż najbliższym doradcą Aleksandra był niejaki Pnuli, były generał sztabu rosyjskiego, teoretyk sztuki wojennej. Idąc za jego wskazówkami, car kazał znieść naprędce ufortyfikowany obóz wojskowy w małym miasteczku Dryssa nad Dźwiną, — nieudolnie naśladownictwo obozu Fryderyka II w Bunzlow. Centralne położenie Dryssy miało pozwolić na równoczesną obronę dróg: do Moskwy i do Petersburga. Obozowi, słabo ufortyfikowanemu, groziło całkowite odcieście wraz z 120.000 wojsk; tak że po paru dniach fantastyczny ten plan został zamierzany i wojska Barclay'a pośpiesznie opuściły Drysse. Był on jednak zgubny w następstwach, gdyż opóźnił połączenie wojsk Barclay'a i Bagrationa. Sztab rosyjski, obawiając się dalszych, podobnych do tego posunięć Aleksandra, w sposób jak najbardziej taktowny usunął go od kierownictwa akcją.

Tarlé wykazuje, że ruchy wojsk rosyjskich pod dowództwem Barclay'a i Bagrationa były dyktowane koniecznością, było to cofanie się pod naporem przeważającej armii; ale że żaden z tych wodzów nie miał ścisłego planu postępowania, a to, co my dzisiaj nazywamy „wciąganiem w głąb kraju”, było wówczas poczytywane raczej za zdradę lub nieudolność.

Natomiast Kutuzow od chwili odrotu Napoleona z pod Moskwy miał jasny i wyraźny plan. Wbrew opozycji wszystkich otaczających go generałów, mimo sprzeciwu cara i intryg angielskiego posła — konsekwentnie unikał wielkiej bitwy, opóźniając celowo pościg; odprowadzał on tylko Napoleona poza granice Rosji, wiedząc, że głód, choroby i mróz wyniszcza Wielką Armię bez jego współudziału. Nie chciał narażać swego wyczerpanego wojska, dał umknąć Napoleonowi w przeprawie przez Berezynę, nie usiłował pojmać Cesarza. „Nie zależało mi na tym, aby być oswobodzicielem Europy, niech Europa da sobie samą radę z tyranem, — moim obowiązkiem jest kosztować jak najmniejszych sił oswobodzić ziemię ojczystą”.

Europa wykrwawiała się jeszcze trzy lata na polach bitew od Budziszyna do Waterloo; Aleksander, mimo przedśmiertnych rad Kutuzowa, grał rolę obrońcy ładu i rozsyłał swe wojska wślada za Napoleonem.

Najciekawsze jest to, że Tarlé, czołowy, oficjalny historyk sowiecki, widzi odpowiedzialność, niezmenną rację stanu Rosji w postępowaniu Kutuzowa. Wiele zmieniło się w Rosji od okresu Trockiego i panowania idei rozszerzenia rewolucji na cały świat.

A czy „Komitet Wolnych Niemców”, „Wolne Włochy”, „Związek Patriotów Polskich” — są na wrotem do tych idei w nowym, wydaniu czy też są tylko jednym z wielu manewrów dla zaszachowania Sprzymierzonych — pokaże najbliższa przyszłość.

ik.

Nowość!

KSAWERY PRUSZYŃSKI

WALCZYMY

SPIS ROZDZIAŁÓW:

Wśród kłeski posiew zwycięstwa. — „Wykopać Pekin!” — Podwodna Odyseja Bałtyku. — Coetquidan w Bretanii. — „Unbedingt Narvik halten”. — Lato francuskiej kłeski. — Polacy w bitwie o Anglię. Pierwszy z pierwszych: dywizjon 303. — Szkoła zastój. — Marynarskie wspomnienia. — Ich zapomniana Dunkierka. — Squadron Leader Henneberg. — Zapłata za Warszawę, za Siedlce, Kutno i Wrzesień. — Szlakiem krzyżowców. — Bitwa za Atlantykiem. — Armia podziemna. — Znowu mamy armię. — Zakonienie.

Cena 200 milsów

Nakładem Wydawnictwa „W DRODZE”

w Jerozolimie.

PAULINA APENSZLAK

WSPOMNIENIE O JANUSZU KORCZAKU

Uczucie lęku przed drugim człowiekiem, o ile to nie był, naturalnie, złoczyńca, należało w cywilnym życiu przedwojennym do rzadkości. Lecz ja wyraźnie czułam, przechodząc przez środkowy pokój redakcyjny, najmniej wygodny i najbardziej upośledzony w całym lokalu, że boję się Janusza Korczaka.

Często zastawałam go przy biurku, otoczonego istną chmurą rozgadanych, dyskutujących chłopców i dziewcząt. Czasami spotykałam go w drukarni, gdy dawał jakieś wskazówki zecerowi. Było to tylko na początku istnienia tej dziwniej, jedynej chyba w całym świecie gazety, „Małego Przeglądu“, znajdującej się raczej pod kierownictwem niż pod redakcją Korczaka. W miarę jak pismo zyskiwało na popularności i powiększało nakład, Korczaka coraz rzadziej zastać można było w redakcji: zrobił swoje, dał inicjatywę, okrył imprezę wydawniczą olbrzymim autorytetem swego nazwiska, przysłał zastępcę i... wycofał się. Zastępca, red. X., bardzo przypominał zachowaniem się i sposobem bycia niewidzialnego Korczaka. Opowiadano, że Korczak spotkał go kiedyś na ulicy, w pożalowania godnym stanie, obdartego i głodnego. Nie wiem w jakich warunkach została zadzierżgnięta przyjaźń. Mówiono o jakimś palcie, które Korczak zdjął ze siebie, by okryć nim zniechętego. Redaktor był ułomny. Miał oczy prawie takie same, jak Korczak, głęboko osadzone, czarne, płożące oczy fanatyka.

Wydawcy „Naszego Przeglądu“ bali się redaktorów dodatku dla dzieci: walczyło się stale o większy przydział papieru i składu, o honoraria. Walkę prowadził nie tyle Korczak, ile jego zbuntowani apostołowie. Mieli widać, olbrzymią się moralną za sobą, skoro wydawnictwo uległo się kiedyś ich groźbie, jakże brzmiały żartobliwie, że dzieci zabiorą gazetę i będą same wydawać „Nasz Przegląd“.

Czego obawiałam się, przechodząc szybko przez pokój redakcyjny, to milczącego spojrzenia Korczaka. Bo ilekroć na mnie spojrzał, wydawało mi się, że jestem winna wszystkiemu złu, które się dzieje wokół nas, że spada na mnie ciężar odpowiedzialności za zbyt wystrójone i próżnujące panusie, za rozpieszczoną i egoistyczną dzieci, za spekulujących kupców, za sprzedających swoje poglądy polityczne działaczy, za rodziny, pyszniące się śmiercią swoich najbliższych olbrzymimi nekrologami w gazetach i wynoszące na światło dzienne intymne związki rodzinne w rubryce powinszowań i życzeń, za panny z posagiem, szukające przyszłości w dziele ogłoszeń matrymonialnych, za obłudę nabożestw, na których płaciło się sione ceny za miejsce w synagodze, za frymacerie wielkimi słowami, za nadużywanie frazesów, za ogłupianie, oszukiwanie, za pochlebstwa, za wszelkie niesprawiedliwości. Ilekroć widziałam Korczaka, pisanie szło mi niesporo. Działał on na mnie jak wyrzut sumienia.

I dziś, kiedy chcę o nim pisać wspomnienia, a wspomnień tych zebrało się nie mało ze znajomości, trwającej około lat 30, ogarnia mnie ta sama obawa, co wówczas, kiedy z za grubych szkielec w złotej oprawie padało na mnie najsmutniejsze, jak gdyby przeczuwające wielkie krzywdy spojrzenie. a z za wytartego aksamitnego kołnierza zrudziałego palta odwracała się ku mnie bolesna w swej brzydocie, ale tak dobrze mi znana, tak bliska i droga twarz Janusza Korczaka.

Nie śmiem napisać: Bohater, nie śmiem napisać: Męczennik, nie śmiem użyć ani jednego z tych wielkich, wytartych słów, specjalnie tak nadużywanych w epoce krwawego patosu, bo wiem, jak serdecznie nienawidził ich Korczak, jak ironicznym uśmiechem spotkałby idące mu naprzeciw strojne, błyszczące chrześzczące, wyszminekowane wielkie słowa. Powinny o nim raczej pisać dzieci. Ubóstwo i prymitywność ich stylu mogłyby jedynie wyrazić tę opinię, jakiej sobie Korczak życzył za życia, a chyba i po śmierci. On sam może, w jakimś skrócie monosylabicznym, umiałby wyrazić swój ideał życiowy, który miał jedną myśl przewodnią: Prostotę — a jako jej konsekwencję: Prawdę. I dalsze już logicznie wypływające wnioski: Sprawiedliwość. Ani własne poświęcenie, ani dobroć, ani wysoki poziom moralny. Tylko: Sprawiedliwość.

W tym skomplikowanym, zakłamanym, niesprawiedliwym świecie stosowanie tych właśnie zasad i walka o nie stały się postanowieniem Korczaka.

Miałam wówczas 8 lub 9 lat, a Korczak nazywał się panem doktorem Henrykiem Goldszmidem, nasił czarny krawat, zawiązany na kokardę, i bujną rudawą czuprynę, kiedy po raz pierwszy ujrzała z dwójgiem trzyletnich dzieci, które trzymał na kolanach. Było to w Domu Sierot na ul. Franciszkańskiej, tym słynnym Domu Sierot w Warszawie, który potem stał się domem Korczaka, zaś jego jedyną rodziną stało się kilkadziesiąt sierot. Młody wówczas doktor, który przypomniał Judyma, bo właśnie w owym czasie Judymowie chodzili po Warszawie, zjawiał się co dzień o 5-ej na badanie i zabawę do dzieci. Przez nauczycielkę geografii i przyrody i jej siostry, Julię i Stefanię Wilczyńskie, dwie wytworne panny z bogatego domu asymilatorskiego, które wróciły dopiero co po ukończonych studiach ze Szwajcarii, z rozgorącz-

kowanymi głowami, nabitymi misją niesienia oświaty, a jedna z nich zaangażowana została na mieszczańską pensję dla dziewcząt, zaprzyjaźniłam się z Domem Sierot. Z gromadą dziewczynek przychodziliśmy najpierw na wspólne zabawy z dziećmi, a potem, w miarę jak podrasztaliśmy, na organizowanie przedstawień amatorskich, zagonków, pomoc w odrabianiu lekcji i t. d. O 5-ej siedział się w dużej sali, dokoła stołu, każdy z nas dostawał blaszany kubek ciepłego mleka i po dwie bułki. Korczak, Julia i Stefania Wilczyńskie, my, obce dzieci i dzieci z Sierocińca, stanowiliśmy doskonale zgraną kompanię. Prędko przyzwyczailiśmy się do złej polszczyzny sierot, Korczak powtarzał niektóre słowa żydowskie, żeby się ich nauczyć na pamięć. Był wówczas młodym, dobrze zapowiadającym się pisarzem polskim, którego pierwsza książka „Dziecko salonu“ wywołała mnóstwo dyskusji. Nie mogłam sobie tylko wytłumaczyć jednego: dlaczego nie brzydzi się dzieci z wielkimi parchami na wygolonych czaszkach? I patrzyłam w niemym podziwie, jak tuli do siebie i całuje te małe parchate stworzonka.

W późniejszym okresie — była to duża przerwa, która zajęła pół, a nieraz i całe życie ludzkie — przerwa, obficie nasycona epokowymi wydarzeniami w świecie i w Polsce, przerwa wojny europejskiej, okupacji niemieckiej i odrodzenia Polski, spotykałam Korczaka w zupełnie innych okolicznościach. Ja miałam już za sobą szkołę średnią i studia, pozwalające obiektywnie ocenić Korczaka, jako jedynego w Polsce na dużą miarę pisarza dla dzieci. Korczak ostatecznie zrezygnował z piśmiennictwa beletrystycznego dla dorosłych. Był autorem „Józka, Janków i Franków“ i „Josków, Mośków i Szułów“, wspaniałego pamiętnika wakacyjnego polskich i żydowskich dzieci, autorem „Ślavy“ i autorem „Króla Maciusia“, powieści dla młodzieży o wartości programowo-ideologicznej, książki domagającej się samodzielności dla świata dziecięcego, głoszącej naukę, że dzieciństwo jest okresem zamkniętym, pełnym, jak okres dojrzalości, i przeto nie należy go traktować, jako epokę przejściową, przygotowującą do prawdziwego życia. Dzieciństwo jest także prawdziwym życiem, ma wobec tego prawo wymagać wszystkiego, co się prawdziwemu życiu należy. Dzieciństwo ma otrzymać samostanowienie, ma się rzadzić własnymi samodzielnymi zasadami, dzieci nie mogą być upośledzone z uwagi na to, że kiedyś urosną i znajdą się w lepszych warunkach. Korczak walczył o prawo dzieci.

Konsekwencją tego śmiałego i ultranowoczesnego w pedagogice poglądu na wychowanie było założenie gazety dla dzieci, pisanej przez dzieci. Dzieci mają nawet prawo do obioru własnego króla. W ten sposób z żartobliwej niejako powieści o Królu Maciusiu powstała szkoła pedagogiczna, pozostawiająca dziecku swemu radykalizmowi i oryginalności za sobą w tyle nawet teorie pedagogiczne Ameryki i eksperymenty sowieckie. W Domu Sierot rządziło się konstytucją Korczaka, i to małe państewko, schowane za murami na ulicy Krochmalnej, na najbiedniejszej ulicy żydowskiej w Warszawie, było żywą zapowiedzią możliwości stworzenia nowego świata i nowego życia.

JÓZEF LOBODOWSKI

MOJA LUBELSZCZYZNA

Dolinami, zielonymi łąkami kraina się rozpostarła,
rozlewami torfowisk i łąk podeszła
ku strumom wąwozom...
Złota woń macierzanki napływa do gardła,
ani wiesz,
skąd i dokąd cię wiozą.

Czy tęsknota daleka,
czy rozpacz i strach,
skurcz pod sercem, gdy słów już zabrakło do wyznań,
na pastwiskach, na rzekach,
na majdanach i wsiach
wciąż usypia moja Lubelszczyzna.

Kiedyś wrócę do ścieżek wydeptanych i szos,
Gdzie się z wiatrem potykał i ziemi bił czołem, —
dość słyszała tych pieśni,
więc pozna mój głos,
kiedy na nią po imieniu zawołam.

Przyjdą zmierzchy fiołkowe, zatoczy się wóz,
furman cmoknie na rosie mierzyny — i rusze...
Ach, i drogą, wiodącą szpalerami brzoź
między polne jabłonie i grusze.

Niby dym, co wieczorem nad jedliną się snuł,
mgła mi oczy przesłoni, lecz do łez się nie przyznam,
i wśród leśnych uroczysk,
śród majdanów i siół
cicho uśnie moja Lubelszczyzna.

Z wydanego nakładem autora we Francji nieokupowanej w r. 1941 tomiku wierszy
Z dymem pożarów“

Kontrasty aż uderzały do głowy. Na ulicy, w głębokich rynsztokach stało jesienią i na wiosnę błoto, w którym odbijało się tęczę blade słońce, a zimną rynsztoki tworzyły prawdziwą śnieżną pułapkę. Po dwóch stronach ulicy gnieździły się małe parterowe domki, przerywane od czasu do czasu wielką, szeroką, trypietrową kamienicą, nie odnawianą od wielu lat, huczącą mrowiem kilkuset mieszkań. Przez okna parterowych mieszkań widział się jak na dłoni całą biedę i całą sytuację żydostwa polskiego. Jakieś wielkie łóżko, pamiętające dobre czasy, i kredens. Połamane krzesła i najczęściej zdybel lub maszyna. Balia po środku, buchająca parą, lub mały warsztatik trykotarski, cierpliwie nawijający kolorowe szpulki nici. Dzieci bawiły się na podwórzu lub w rynsztokach. Pociąg to opisywać? Ktośkolwiek zna Warszawę, ktokolwiek bywał kiedyś w żydowskiej dzielnicy, temu znane były owe typowe obrazy, owe postacie z płócien Minkowskiego, owe dzieci blade i rachityczne, które nie pozwoliły Korczakowi więcej pisać powieści dla dorosłych o salonach, kazały mu spędzić życie, temu, mogącemu mieć największą praktykę lekarską i duże nakłady książek — na ulicy Krochmalnej.

Nad takim właśnie rynsztokiem stał czteropiętrowy gmach Domu Sierot, na początku zupełnie nierealnie wyglądający w tym otoczeniu, z ogrodem, zagonkami, placem piłki nożnej i koszykówki, dom z marmurowymi schodami i wielkimi, przestronnymi salami do nauki, dom z sypialniami o wielkich oknach, z umywalkami i prysznicami, z kuchniami i spiżarniami, dom - marzenie dzieci z ulicy Krochmalnej. Trzeba jednak było mieć wielki przywilej, bolesny przywilej, o którym teraz opowiadają dzieci teherańskie, tragicznie przywilej sierotwa, aby przestąpić próg iscie czarowanego, królewsko - nowego świata dzieci, rządzonego przez dorosłego Króla Maciusia tak, jak by nim rządził sam Król Maciuś. Na końcu chłopięcej sypialni, oddzielonej ścianką, jak parawanem, z oknem, wychodzącym na sypialnię, mieścił się pokój Janusza Korczaka. Ktoś jednak musiał dawać baczenie na zbyt rozbrzykanych czasem w nocnej zabawie chłopców, ktoś musiał śledzić, czy chłopcy śpią spokojnie. Od strony sypialni dla dziewcząt analogiczny pokój należał do Stefy Wilczyńskiej.

Ilekroć wchodziłam do sypialni, niedyskretnym spojrzeniem sięgałam do pokoju Korczaka. Nic dziwnego: Korczak był już sławą literacką, zawsze nęcił przeciw ciekawskie: jak mieszka, jak żyje? Miał takie same łóżko jak dzieci, może tylko ten kąt różnił się od sypialni ogólnej przez to, że stało tam kilka książek i zielona lampa na stole. Ciała mnicha nie jest bardziej bogato umeblowana. Korczak był też zawsze źle ubrany. Nie miał pieniędzy. Prosto oddawał wszystko co zarabiał. Aby poznać świat dziecięcy, świat swoich sierot, postanowił żyć się z dziećmi, ale nie na dzień, lub kilka godzin. Długie, długie lata spędził Korczak na ulicy Krochmalnej, latem wyjeżdżał na wakacje letnie, jadł to samo co dzieci i prowadził mniej więcej ten sam rygorystyczny tryb życia co one. Nie wydawało mi się nigdy poświęceniem z jego strony takie a nie inne obranie sobie drogi życiowej. Korczak starannie unikał objawów tego,

co mogłoby być uważane za poświęcenie. Chwilami wydawało się, że poprostu jest jednym z dorosłych chłopców, tak bardzo bliskie i własne były mu sprawy dzieci. Czy rzeczywiście istniały dla niego „sprawy dzieci“? Wiedziałam go kiedyś na posiedzeniu Samorządu, innym razem — Kooperatywy Materiałów Piśmiennych. Zabierał głos, przemawiał się, dyskutował z tą samą żarliwością, z jaką to czynili wszyscy uczestnicy zebrania. Cudowna tajemnica jego „systemu“ pedagogicznego i jego talentu pisarskiego dla dzieci polegała właśnie na tym, że on nie patrzył z wysoka na swych małych towarzyszy, ale dziwnym sposobem był z nimi, był poprostu jednym z nich... Oto dlaczego tak okropnym oburzeniem napawało go, gdy ktoś uderzył dziecko, a już specjalnie, gdy mówiono o biciu dzieci, jako o metodzie. Korczak nie uznawał ani złych dzieci, ani trudnych do wychowania. Znajdował właściwe podejście do dziecka, i wiedziony instynktową sprawiedliwością człowieka, który nie wie co to znaczy grzech, rozwiązywał łatwo najtrudniejsze kompleksy psychologiczne dzieci. Jego dzieci wymierzały sobie zawsze karę same na zasadzie wolnej oceny wolnego sądu w tym doskonałym państwie dziecięcym, jakie budował Korczak. Ale o sciany zamkniętego, doskonałego świata sprawiedliwych dzieci, z których mieli wyrosnąć sprawiedliwi ludzie, uderzały groźne fale. Była to niejako arka Noego wśród potopu. Czas najmniej nadawał się na budowę domów szklanych, na głoszenie miłości bliźniego dla dobrych nauczycieli i rozsądnie chowanych dzieci. Jak w krzywym zwierciadle odbijały się dokoła zięjące nienawicią twarze, triumfował Szatan w Europie. Jak boleśnie musiał przeżywać Korczak, duchem tkwiący w pozytywizmie minionej epoki, serdeczny brat Amicisa, Kiplinga, Muntego, fale wstecznicstwa, rasizmu, antysemityzmu, zalewające Europę a wraz z nią i Polskę. Nie mieszał się do polityki. Niechętnie podpisywał protesty, jak gdyby rozumiejąc ich bezradność. Nie rozgłaszał swojego rozczerowania. W słowach, w artykułach raczej beznamienny i bardzo oporny, usiłował ukryć się jeszcze głębiej za ścianami swego szklanego Domu, dobrego świata dziecięcego. Dzieci wyrastały. Przychodziły czasami pobite, a czasami pokrwawione z ulicy. Wychowankowie Domu Sierot z taką pewnością siebie i pewnością słuszności swych praw wkraczały w życie... i nie dostawały pracy. Dzieci mówiły coraz więcej o Palestynie. Należały do Szomra. Niektóre rwały się do wyjazdu. Wówczas doktor Korczak, poprzedzony wielokrotnymi odwiedzinami w Palestynie swojej najbliższej współpracownicy, Stefani Wilczyńskiej, wyjechał do Palestyny. Do Ein-Harodu, gdzie najwięcej dzieci. Przyjeżdżał tu wiele razy. Mówiono, że miał jakieś plany, związane z Palestyną; nie wiem, czy sam chciał się przenieść, czy badał, jak wpływa na dzieci atmosfera Emeku w przeciwstawieniu do atmosfery ulicy Krochmalnej.

W czasie jednej z takich podróży powrotnych, na pokładzie trzeciej klasy „Polonii“ na zwoju lin, w białą noc księżycową, zastałam go siedzącego w towarzystwie prostych ludzi. Jak zwykle, więcej słuchał niż mówił, więcej patrzył niż inni, więcej widział.

Pierwszy grom wojenny uderzył naturalnie w „Mały Przegląd“, który przecież nie był gazetą, tylko dodatkiem do dużej gazety. Zabrakło papieru. Dopytywałam się o Korczaka. Mówiono, ponieważ było to pod koniec wakacji, że jest w Palestynie.

Jakże mogłam przypuścić, że jest gdzie indziej, jak na ulicy Krochmalnej, jak mogłam sobie wyobrazić, że został w czasie bombardowania swoje dzieci. Jako lekarz był powołany do służby wojskowej, ale przecież musiał wrócić, samotny, do swojej sierociej rodziny.

O śmierci Janusza Korczaka dowiedziałam się z gazet. Korespondent „Time and Tide“ tak opisał ostatnią wędrówkę Korczaka, który aż do chwili masowego mordu Żydów pozostał w ghecie: „Pragnąc go ponownie moralnie, Niemcy dali mu możliwość ratunku, ale Korczak nie zgodził się oczywiście na opuszczenie dzieci. O śmierci jego mówili z podziwem zarówno Żydzi, jak i Polacy. Korczak prowadził pochód dzieci z sierocińca na dworzec, gdzie oczekiwał ich pociąg śmierci. Szedł spokojny i skupiony, zachowując godną postawę. Na rękę trzymał dwoje dzieci, reszta szła za nim. Kto był świadkiem tej sceny, nigdy jej nie zapomni.“

Na czele pochodu dzieci, trzymając dwoje na rękach....

Takim go właśnie widziałam po raz pierwszy, przed trzydziestu laty, kiedy trzymał dwoje maleństw na rękach. Kto wie, może i teraz, jak wówczas w tym bardzo starym, dobrym, przedwojennym świecie, kiedy Korczak, niedawno po otrzymaniu dyplomu, wrócił z zagranicy z sercem pełnym miłości, głową pełną ideałów, z piórem utalentowanym, jak wówczas zabawał dwoje nieszczęśliwych ogolonych sierot jakąś bajeczką o państwie Króla Maciusia, może i teraz, idąc przez czarne od błota i czerwone od krwi ulice Warszawy do pociągu śmierci, ten polski Pied-Piper, krocący na czele pochodu dzieci, opowiadał im złudną bajkę o świecie, do którego ich wiedzie.

Z P R A S Y O B C E J

Z literatury ekonomicznej

Rola północnych Włoch w niemieckiej gospodarce wojennej

Wbrew temu, co się powszechnie przypuszcza, rola ta jest duża — dowodzi Paul Wohl w numerze z dnia 1 sierpnia 1943 r. nowojorskiej „The Herald Tribune”.

Północne Włochy są jedną z głównych twierdz niemieckiego przemysłu wojennego. Pierwszą co do ważności jest Ruhra, druga — t. zw. „wschodnia Ruhra”, na którą składają się Śląsk, Morawy i Małopolska Zachodnia (autor pisze: Galicja). Trzecim co do znaczenia jest obszar przemysłowy francusko-belgijsko-niderlandzki. Obszar północno-włoski jest czwartym z kolei, a jeśli wziąć pod uwagę trudności, jakie mają Niemcy z siłą roboczą i dostawą surowców w krajach okupowanych, to prawdopodobnie trzeba mu przyznać nie czwarte, ale trzecie miejsce: „Po Francji i Węgrzech Włochy są trzecim w Europie Osi producentem bauksytu. W r. 1940 włoska produkcja aluminium była niemal że tak wielka jak francuska w r. 1939 i ustępowała tylko produkcji „Wielkich Niemiec”. W latach przedwojennych Włochy były drugim na kontynencie producentem cementu; produkcja ich była równa niemal że jednej trzeciej produkcji Niemiec i Austrii. Ich produkcja jedwabiu sztucznego była w r. 1939 tak wielka jak brytyjska i niemal że tak wielka jak niemiecka. Włochy zajmują trzecie w Europie miejsce w produkcji pirytów, ustępując pierwszeństwa tylko Hiszpanii i Norwegii. Ich produkcja konopi jest najwyższą po ZSRR. Na europejskie wydobycie siarki w r. 1939 — 380.000 tonn — przypada 376.000 tonn, wydobyczych we Włoszech”.

Poza tym należy pamiętać, że Włochy mają jeden z najlepiej rozwiniętych w Europie przemysłów samochodowych, że eksportowały maszyn do budowy dróg do południowo-wschodniej Europy, Rosji i Norwegii, sprzęt rolniczy na Ukrainę i do Rumunii, mechaniczne warsztaty tkackie — do Jugosławii i Turcji, że eksportują do opanowanej przez Niemców Europy instrumenty precyzyjne i turbiny.

Przemysł ten jest w znacznej mierze opanywany przez kapitał niemiecki. Wielki chemiczny kombinat Montecatini, który zmonopolizował 88 procent włoskiego wydobycia pirytów, jest w znacznej mierze opanowany przez I. G. Farbenindustrie, we włoskich zakładach elektrotechnicznych znaczne udziały ma koncern Siemens.

Przemysł ten jest obecnie (artykuł był pisanym jeszcze przed ładowaniem Sprzymierzonych na półwyspie Apenińskim) w zasięgu działań bombowców Sprzymierzonych. Z utrzymania w posuszeniu robotnika włoskiego (zwłaszcza robotnika wykwalifikowanego) miał trudności już Mussolini, tym większe trudności będzie miał Gestapo. A, bez współpracy włoskich bankierów i przemysłowców sztuczny gmach niemieckiego „ładu gospodarczego” z jego skomplikowanym systemem clearingów i wymiany, kierowanym przez Berlin, z jego współzależnymi dyrektywami, europejskimi nadzorstwami i kontrolowanymi przez rząd kartelami musi się zalać. A wtedy Niemcy nie będą już mogli korzystać z „legalnych” i formalnie rzecz biorąc opartych na umowach metod w ich systemie rabunkowym.

Gdy skończą się wydatki wojenne

Trudnością gospodarczą, jakie czekają Stany Zjednoczone po wojnie, poświęca artykuł Stuart Chase w czerwcowym zeszycie nowojorskiego miesięcznika „Harper's Magazine”.

Po pierwszej wojnie światowej — przypomina autor — Stany Zjednoczone przeżywały okres wspieranej koniunktury gospodarczej; ludzie zakupowali masowo towary, których byli pozbawieni w czasie wojny, otworzyły się ogromne możliwości zbytu w Europie. Zdawałoby się, że i po zakończeniu tej wojny sytuacja wyglądać powinna identycznie. W rzeczywistości — tłumaczy p. Chase — sytuacja wygląda zupełnie inaczej i istnieje poważna obawa ciężkiego kryzysu.

W ubiegłej wojnie w wysiłku wojennym zaangażowane było około 25% amerykańskiej energii narodowej, w wojnie obecnej zaangażowane jest 70%. Stąd przestrojenie gospodarki z torów wojennych na pokojowe było wtedy bez porównania łatwiejsze. Inwestycje wojenne, jakie zrobił amerykański ciężki przemysł w obecnej wojnie, są wielokrotnie większe od inwestycji zeszłej wojny. Przestrojenie się tego przemysłu z powrotem na produkcję pokojową, zamiana obrabiarek i t. p. zajmą miesiące, a w niektórych działach przemysłu nawet lata. Konieczność jak najwyższych dostaw sprzętu wojennego sprawiła, że proces produkcji już w ciągu tej wojny został znacznie przyspieszony. Tak np. zbudowanie statku towarowego, które przed wojną kosztowało 1.100.000 godzin pracy, dzisiaj kosztuje tylko 680.000 godzin. To przyspieszenie procesu produkcji jest, oczywiście, dorobkiem trwałym; będzie ono obowiązywało i po wojnie. A to oznacza zastrzeżenie groźby bezrobocia.

Trzeba wreszcie wziąć pod uwagę i moment psychologiczny. Amerykanie przed wojną 1917—1918 r. nie znali ciężkich kryzysów ekonomicznych. Wierzyli w stały postęp gospodarczy, którego wojna 1917—1918 r. była tylko chwilowym zakłóceniem. Dlatego z chwilą gdy wojna została skończona, inwestowali łatwo i lekko. Do tej wojny Stany Zjednoczone przystąpiły po latach ciężkiego, chronicznego kryzysu, stąd obawy powtórzenia się tego kryzysu po wojnie są bardzo rozpowszechnione. Dlatego to chociaż po wojnie swobodnych kapitałów będzie napewno mnóstwo, ludzie będą ociągali się z ich inwestowaniem, będą czekali na gwarancje, iż kryzys przedwojenny się nie powtórzy.

Zapobiec niebezpieczeństwu może tylko na szeroką skalę zakrojony plan inwestycji gospodarczych: „Naród amerykański zdaje się zdawać sobie sprawę z tego, iż sytuacja jest krytyczna. Stowarzyszenie Narodowe Producentów („The National Association of Manufacturers”) poleciło Biuru Psychologicznemu przeprowadzenie ankiety. Rezultaty byłyby bardzo znamienne. „Dziewięćdziesiąt dwa procent ludzi, reprezentujących wszelkie możliwe skale zarobków, były za natychmiastowym planowaniem na okres powojenny, zamiast czekania, aż wojna się skończy. Sześć procent było przeciwnym planowaniu, dwa procent — niezdecydowanych; 61% było za natychmiastowym przygotowaniem wielkiego programu robót publicznych, 24% było przeciwnych, reszta — niezdecy-

dowanych. Ale 80% było przeciwnych temu, aby rząd przejął w swój zarząd prywatne przedsiębiorstwa”.

„Ludzie chcą, aby już dzisiaj zostały wypracowane plany, umożliwiające pełne zatrudnienie. Chcą oni, aby rząd wypełnił wszelkie luki, ale nie — aby kierował prywatnymi przedsiębiorstwami”.

Istnieje przekonanie, że i po wojnie rząd weźmie w swe ręce kontrolę produkcji i kontrolę cen, dla uniknięcia inflacji, że opracuje plany zarówno na najbliższą przyszłość, jak i na dalszą metę, że wreszcie, za pomocą odpowiedniej polityki podatkowej będzie pomagał przedsiębiorstwom w przestrojeniu się na potrzeby produkcji pokojowej.

Bardzo drażliwy jest problem demobilizacji. Już dzisiaj istnieją zapewnienia sfer oficjalnych, że demobilizacja armii amerykańskiej zostanie przeprowadzona stopniowo, w miarę tego, jakie będą możliwości wchłonięcia zdemobilizowanych żołnierzy przez życie gospodarcze kraju.

„Times” o Karcie Atlantycznej

Londyński „Times” z dn. 11 sierpnia 1943 r. poświęcił drugiej rocznicy Karty Atlantycznej artykuł wstępny p. t. „Warunki pokoju”.

„Karta Atlantyczna — czytamy tam — jest instrumentem jedynym w swoim rodzaju. W Stanach Zjednoczonych nie została ona przedłożona Senatowi do ratyfikacji i dlatego, podobnie jak 14 punktów przez Wilsona, stanowi ona przydomek deklaracji politycznej, nie zaś zobowiązanie traktatowe. Jest więc ona po części czymś więcej, a po części czymś mniej od formalnego układu; jest ona, jak premier Churchill oświadczył w ub miesiacu w Izbie Gmin, „stwierdzeniem pewnych szerokich poglądów i zasad, które są naszą wspólną wytyczną w naszym marszu na przód”.

Pierwszym warunkiem wolności, jaką Karta ofiarowuje, jest „ostateczne zniszczenie tyranii nazistowskiej”. Będzie to proces zarówno oswobodzenia, jak i restrykcji. Jednak Karta nie obiecuje powrotu do dawnych stosunków. Jest to nie możliwe po wszystkich spustoszeniach wojennych, obaleniu tyłu granic, po tak głębokich zmianach w myśleniu i odczuwaniu ludzi, zwłaszcza w Europie. Gdyby zwycięskie narody i rządy próbowały prowadzić politykę, nawiązującą do przeszłości, dzieło ich zwycięstwa okazałoby się równie kruche, jak traktaty z r. 1919.

Karta Atlantyczna obiecuje każdemu narodowi prawo „wyboru takiego rządu, pod jakim chce żyć”. Nie oznacza to jednak „restauracji starych form lub zapomnianych, a może zdyskredytowanych przywódców, lecz ponowne podjęcie niekończącej się przygody („endless adventure”), przez którą wolni ludzie dążą do uzgodnienia i kontrolowania swych własnych problemów rządzenia”. Tak np. we Włoszech alianci powinni pogodzić autorytet, niezbędny dla prowadzenia operacji wojskowych, ze „skuteczną grą tych świeżych i żywotnych sił politycznych i społecznych, z których jedynie wyrosnąć może nowa, wolna Europa”.

„Wolność od strachu” („freedom from fear”) może być osiągnięta tylko przez „szerszy i stały” system ogólnego bezpieczeństwa. „Pogląd, który przeważał w r. 1919 i później, że zarówno wielkie jak i małe kraje mogą zżywać absolutnego prawa wolności, zachowując dla siebie swobodę przyjmowania lub odrzucania zobowiązań, wynikających z przynależności do wspólnoty narodów, nie wytrzymała próby ani doświadczenia, ani rozsądku”. Budowanie nowego, „szerszego i stałego” systemu musi postępować parą passu z procesem oswobodzenia. Cięży tu szczególny obowiązek na tych z pomiędzy Zjednoczonych Narodów, na które „ich zasoby militarne i ekonomiczne niewątpliwie nakładają przeważający udział odpowiedzialności”.

Nie ustalono jeszcze do tej pory, jak system ten ma być zorganizowany. Nie ulega jednak wątpliwości, że żaden układ w Europie nie będzie możliwy bez wspólnej akcji co najmniej Wielkiej

Brytanii, Stanów Zjednoczonych i ZSRR. „Jeśli by wzajemne zazdrości lub podejrzenia miały wpaść w te trzy kraje na oddzielne ścieżki wąsko pojętego interesu własnego, lub jeśli by pozwolono utwierdzić się narodowym rywalizacjom i ambicjom mniejszych państw na szkodę silnie zespolonej wspólnej organizacji dla przeskądzenia napaści i utrzymania pokoju, wówczas mało byłoby nadziei na zapobiegnięciu nowej klęsce dla Europy i świata”.

Autor zajmuje się następnie zagadnieniem „wolności od niedostatku” („freedom from want”) i przypomina ustanowienie „United Nations Relief and Rehabilitation Administration” oraz wyniki konferencji w Hot Springs. Artykuł kończy się słowami: „Spełnienie gospodarczych, podobnie jak politycznych i wojskowych celów Karty Atlantycznej zależy od wspólnego zdecydowania Zjednoczonych Narodów w zmierzaniu do celu aż do końca”.

O polityce węgierskiej

W czerwcowym zeszycie londyńskiego miesięcznika „The Contemporary Review” znajdujemy artykuł, p. t. „Węgierskie możliwości”, dający przekrój polityki Węgier w chwili obecnej. Zdaniem autora tego artykułu węgierską politykę zagraniczną prowadzi nie arystokracja, ale średnia i mniejsza szlachta, która dziś już czerpie swe dochody nie tyle z ziemi, ile raczej z posiad w władzach centralnych i samorządowych oraz ze stanowisk w różnych przedsiębiorstwach państwowych lub przez państwo subsydiowanych. Ponadto z tej warstwy rekrutują się prawie że wyłącznie oficerowie zawodowej armii węgierskiej. Między arystokracją a tą szlachtą istnieją znaczne różnice. Przed rokiem 1914 arystokracja niechętnie odnosiła się do wybitnie nacjonalistycznej polityki szlachty, która wywoływała wieczne spory z Wiedniem oraz stale stwarzała trudności z mniejszościami narodowymi. Po r. 1920 właśnie polityce tej grupy należy przypisać raz po raz pojawiające się fale antysemityzmu, negatywne stanowisko w sprawie znalezienia „modus vivendi” z Małą Ententą (choć w tej dziedzinie — autor dodaje — winą tkwiła nie tylko po stronie Węgier) oraz politykę prosofiową. Arystokracja natomiast, będąc skłogaconą z rodzinami zagranicznymi, raczej sprzeciwiała się polityce antybrytyjskiej i antyfrancuskiej. Z drugiej jednak strony, jeśli na czele rządu stawał przedstawiciel arystokracji, to na ogół był on desygnowany przez szlachtę i jej politykę musiał prowadzić. W ostatnich latach wpływy tej warstwy zostały wzmocnione do tego stopnia, że były niemal że równoznaczne z monopolem. Ten stan rzeczy był widoczny przede wszystkim na terenie armii.

Warstwa ta — mimo fatalnych skutków jej polityki — stanowi jedyną grupę na Węgrzech, której kierownicza rola jest dobrowolnie uznawana przez szerokie masy ludności. Autor uzasadnia to tym, że ta głównie warstwa interesowała się życiem politycznym przez ostatnie 75 lat. Reszta natomiast inteligencji nie miała szans odegrania roli w polityce.

Jeśli chodzi o najbliższą przyszłość, to — zdaniem autora — należy się liczyć ze wzrastającym oporem przeciwko całej warstwie rządzącej, albo co najmniej przeciwko obecnym jej przedstawicielom. Przy tym główną opozycję stanowiłby bardziej umiarkowane czynniki obecnych kół rządzących: drobni rolnicy oraz partia socjalnych demokratów, reprezentująca robotników przemysłowych.

W zakończeniu swoich rozważań autor podkreśla, że wśród szlachty węgierskiej istnieją elementy liberalne i antyniemieckie. Rząd, utworzony przez tę koła, wraz z przedstawicielami drobnych rolników i socjaldemokratów oraz jednym lub dwoma przedstawicielami arystokracji najprawdopodobniej byłby przyjęty przez społeczeństwo węgierskie i z czasem zyskałby szersze podstawy.

Pamięci prof. Sosnowskiego

Dotarła ostatnio do nas spóźniona wiadomość o śmierci profesora Sosnowskiego, który zginął podczas bombardowania Warszawy.

Był on profesorem architektury polskiej na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. A i poza profesurą oddawał się działalności naukowej: właściwym jego polem działania był t. zw. Zakład Architektury Polskiej. Zakład zajmował całe skrzydło na parterze gmachu Wydziału; żył on własnym życiem, niezależnym od godzin wykładów i ćwiczeń, był jakby państwem w państwie. Przez cały dzień krzątali się tam asystenci; profesor swoim drobnym, szybkim krokiem wchodził i wychodził z gabinetu, znosząc książki, broszury, fotografie i plany. Czasem woźni przynosili z zakładu na wykłady pierwszego roku modele konstrukcji drewnianych — przedziwnej misterności: jakichś dach kościelny czy chałupę góralską, konstrukcje bez jednego gwoźdźca, kunsztownie ząbkowane i zaciosane. Największą atrakcją dla pierwszoroczniaków było, gdy profesor wywierał więź huculską dachem na dół i nie rozsypanyła się.

[Profesor wykladał niezmordowanie, rysując bez przerwy, szybko na tablicy plany, przekroje i perspektywy chat czy dworów polskich (a rysował pewnie i nieomylnie), wyjaśniał elementy, z których ułożyła się barwna mozaika budownictwa ludowego, i zasady, na których rozwinęła się dalsza architektura polska.

Jako ćwiczenia wakacyjne dostawaliśmy t. zw. „inventaryzacje”. Inventaryzacja I — było to obmierzenie i wykreślenie jednej charakterystycznej i paru typowych zagrod jakiejś wsi polskiej. Nie ma co w bawęne obwiązać: nie lubiliśmy tego. Zawsze pełno rzeczy brakowało: wymiary belek, przekątnie izb. Asystent był głuchy na zapewnienia i zaklekania, no i trzeba było raz jeszcze jechać, sprawdzać i uzupełniać. Wreszcie, po zatwierdzeniu i oddaniu „inventaryzacji” (nieraz po dwóch dopiero latach), asystent zakreślał czerwony punkt na mapie. A tych czerwonych punktów było coraz więcej. Mazowieckie dawno inventaryzowane, ekspedycje całe zjeżdżały na Huculszczyznę, zapuszczaliśmy się na Pomorze i Wilenszczyznę.

Po półdopłomie dalszy rok wykładów i nowy koszar: inventaryzacja II: obmierzenie kamie-

niczki renesansowej na Starym Mieście, pałacu magnackiego, kościoła. W roku 1932 prawie cała Warszawa, z nielicznymi wyjątkami, była zinwentaryzowana, a więc do innych miast i miasteczek gdzie tylko było coś uwagi godnego: czy to synagoga drewniana, czy pałacyk rokokowy. I znów lato z taśmą mierniczą, aparatem fotograficznym i stosom wiecznie rozlatujących się papierzysek. Lecz nie to było najgorsze.

I znów korekty w Zakładzie i znów biedny delikwent wił się w mękach jak u sędziego śledczego, bo asystent wszystko widział i wszystko zauważył, brak każdej cyferki, grubości sklepienia czy średnicy tralek balkonowych — i znów trzeba jeździć, uzupełniać, kreślić.

Profesor nie czekał z założonymi rękami na rezultaty studenckich prac: sam jeździł po całej Polsce, od wielu lat poświęcał swoje wakacje, wszystkie dni wolne na rozjazdy i coraz to nowe odkrycia. A później w Zakładzie zbierał, segregował i pisał. Był nieustraszone. Jego pasją pracy, dokładność i „efficiency” udzielała się wszystkim wokół. Zakład Architektury Polskiej wydał w ostatnim dziesięcioleciu liczne książki i broszury i miał nagromadzone wiele cennego materiału na dalsze wydawnictwa.

Prof. Sosnowski stale powiększał zasięg i przyspieszał tempo swojej pracy, aby odrobić przeszło stuletnie zaniebanie w tej dziedzinie, i jakby przewidział, że przyjdzie ta straszliwa zawierucha wojenna i zmiecie z powierzchni ziemi zabytki, które tak ukochał. Jakby przewidział, że niewiele lat zostanie na dokonanie tej olbrzymiej pracy, tych tysięcy pomiarów i rysunków, które są teraz, być może, w jakimś berlińskim muzeum. Przygotował dla nas, budowniczych przyszłej Polski, olbrzymi materiał, z którego będziemy czerpali dla ilustracji dawnej świetności Polski lub orestaurowania i odbudowania zgłiszcz i ruin.

Nie wiemy dokładnie jak zginął prof. Sosnowski. Ale ci, którzy go znają, nie mogą oprzeć się wrażeniu, że zginął na Wydziale w swoim ukochanym Zakładzie, przenosząc cenne rysunki czy modele do bezpiecznych piwnic archiwum.

[Cześć jego pamięci!

„Ekonomista Polski” Nr. 5 — styczeń-marzec 1943.

Zeszyt ten, podobnie jak poprzedni, zawiera artykuły „Zagadnienia bieżące”, recenzje, informacje gospodarcze i wiadomości z życia Stowarzyszenia. Pierwszy dział otwiera artykuł prof. T. Brzeskiego p. t. „Dylemat ekonomii”, zawierający interesujący rzut oka na rozwój myślenia ekonomicznego i podstawowych konstrukcji metodologicznych. Autor zwraca się przeciw badaniu zjawisk gospodarczych metodami, zapożyczonymi wprost z nauk przyrodniczych, których stosowanie ogranicza ekonomistę do opisywania zjawisk, odbierając mu możliwość ich zrozumienia. Prof. Brzeski sądzi, że takie depersonalizowanie życia gospodarczego prowadzi do mechanicznego i racjonalistycznego ujęcia zarówno świata zjawisk ekonomicznych, jak i jednostki, a planowanie gospodarcze jest próbą przeniesienia tych ujęć naukowych w dziedzinę regulowania życia. Można by tu wysunąć zarzut, że oparcie naukowego poznania na psychologii jednostki nie może być wystarczające, gdyż celem badania jest przecież ciągle „bogactwo narodów” lub tak czy inaczej zdefiniowany system gospodarstwa społecznego, a reakcje psychologiczne jednostek, biorących udział w procesach gospodarczych, są dziś już tylko konstrukcją pomocniczą, potrzebną bardziej przy nauczaniu ekonomii, niż przy badaniu zjawisk gospodarczych. Dążenie ku gospodarce planowej wynika raczej z odczuwanych braków obecnego systemu gospodarczego, niż z mechanicznego podejścia do jednostki, której zachodnio-europejskie systemy planowania gwarantują większą sferę wolnego wyboru, niż daje jej obecny system gospodarczy, oparty na szeroko rozgałęzionych monopolach w przemyśle.

Artykuł dr Leona Barańskiego: „Uwagi o Planie Gospodarczym Polski” jest szkieletowym planem rozwoju gospodarczego na okres następnej, powojennej generacji. Autor oblicza, że inwestycje, wynoszące 15% dochodu społecznego, dadzą podwojenie dochodu społecznego w ciągu tego czasu. Ze względu na zubożenie powojenne autor pragnąłby połowę tej kwoty otrzymać z dopływu kapitałów zagranicznych w pierwszych latach po wojnie. Projekt narysowany jest w ogólnych tylko liniach i autor nie zastanawia się nad związkiem planu zwiększenia dochodu społecznego z polityką koniunkturalną i ze stopniem wykorzystania zasobów gospodarczych.

Następny artykuł W. Ł. „The Disarmament of Germany As An Economic Problem” (Rozbrojenie Niemiec jako problem gospodarczy. — Tekst angielski, streszczenie polskie) stawia szereg postulatów, dotyczących przebudowy gospodarczej Niemiec jako gwarancji ich pokojowej polityki w przyszłości. Autor sugeruje odebranie Niemcom przemysłu ciężkiego, zwłaszcza metalowego i chemicznego i przeniesienie go do krajów dziś okupowanych, jako odszkodowanie za zniszczenia wojenne.

Artykuł Rowmunda Piłsudskiego: „Rozbudowa floty handlowej centralnym zagadnieniem polityki gospodarczej” jest podsumowaniem naszych postulatów w dziedzinie przydziału części floty handlowej państw osi Polse. U podstawy wywodów autora leży twierdzenie, że potęwa obrotu w zagranicznym handlu morskim winna być przewożona własnymi statkami.

Szkoda, że oba ostatnie artykuły nie nawiązują zupełnie do żywej już dziś dyskusji nad zagadnieniami potencjału przemysłowego Niemiec i światowego tonażu flot handlowych po wojnie. Wnioski autorów oparte są wyłącznie na założeniu „totalnego zwycięstwa” i nie są związane z jakimkolwiek układem politycznym i gospodarczym po wojnie.

Nadzwyczaj interesujący jest artykuł prof. E. Szturm de Sztrema: „Przesłanki demograficzne do powojennej ekonomiki”. Zadanie, które autor sobie stawia, to zbadanie przyszłej ewolucji ludnościowej Polski. Na podstawie dociekań przy pomocy nowoczesnych wskaźników demograficznych dochodzi autor do dość pesymistycznego wniosku, że w ciągu pierwszego dziesięciolecia po wojnie ludność Polski nie wróci jeszcze do stanu z września 1939 r. a być może dopiero po trójdeci latach ludności będzie w tym okresie wyrównana. Dalszy przyrost ludności Polski po tym okresie będzie, zdaniem autora, coraz wolniejszy. Artykuł zawiera podstawowe dane dla tych wszystkich, którzy próbują dziś zarysować program gospodarczy Polski, i stanowi ciąg dalszy artykułu prof. Szturm de Sztrema z nr. 2 „Ekonomisty Polskiego”.

„Zagadnienia bieżące” przynoszą szczegółowe omówienie projektów monetarnych lorda Keynesa i mr. White’a, ocenę sytuacji finansowej Francji (inflacja we Francji) oraz ocenę sytuacji finansowej Europy w świetle Sprawozdania Banku Rozrachunków Międzynarodowych. W dalszej części znajdujemy recenzję książki prof. F. Zweiga „The Planning of Free Societies”. Numer zamawiająca dobrze zestawione „Informacje Gospodarcze” i szczególnie nas interesujące dane o sytuacji gospodarczej polskich ziem zachodnich.

*

Gaston Leduc: Les Problemes economique de L'après-guerre, Problemes Francais Troisieme, Série Nr. 6, Bejrut 1943, str. 30.

Broszura p. Leduc jest stenograficznym odzwierciedleniem wykładu, wygłoszonego na Uniwersytecie Amerykańskim w Bejrucie w marcu 1943 r. Autor rozpatruje moment, kiedy sprawy gospodarcze przestaną być tylko środkiem wojennym, a powrócą do swojej właściwej roli. Z punktu widzenia rozdziału zasobów produkcyjnych autor zajmuje się zagadnieniami: surowców, pracy i kapitałów. Rozważania swoje na temat surowców opiera na Karcie Atlantycznej, gwarantującej wszystkim państwom równy dostęp do źródeł surowców. Zagadnienia pracy łączy się u autora z prawem do pracy oraz z zagadnieniami ubezpieczeń społecznych. Procesy produkcyjne nie będą się więcej mogły rozwijać w atmosferze laissez faire, planowanie jest hasłem dnia jutrzejszego i to tak w płaszczyźnie narodowej jak i międzynarodowej. Pieniądz traci coraz bardziej swoją rolę regulatora życia gospodarczego i staje się jednym z elementów regulowanych. Oddzielenie go od złota wysuwa problem rozsądnego rozdziału i użycia światowych zapasów złota. Broszura zajmuje się w formie szkicowej wszystkimi ważnymi zagadnieniami gospodarki powojennej i czyni to w formie dostępnej i lekkiej.

ik.

...

wb.

LIST DO REDAKCJI

Do redaktora „W Drodze”

[Dopiero dziś udało mi się przeczytać nr. 6 „W Drodze” z 16 czerwca b. r., w którym znalazłem niezmiernie interesujący artykuł Ksawerego Pruszyńskiego p.t. „Oczywista Zachodu”.

Pruszyński pisze w tym artykule: „Produkowaliśmy doskonale działa przeciwlotnicze, ale sprzedawaliśmy je zagranicę. Szkoliliśmy świetnych lotników, aleśmy nie umieli im dać maszyn. Mówiliśmy wiele o wojnie motorowej, ale ledwo na ostatnią chwilę przygotowaliśmy minimalne ilości czołgów. To znaczy, że sumami, wydawanymi na wojsko, gospodarowaliśmy źle”.

Nie zamierzam dyskutować, czy „sumami wydawanymi na wojsko gospodarowaliśmy” dobrze, czy źle. Jakkolwiek bowiem nad zagadnieniami wojskowymi, a zwłaszcza wojskowo-technicznymi, pracuję znacznie dłużej, niż świeżo upieczony podporucznik od propagandy, tym nie mniej nie uważam się w tej sprawie za dostatecznie kompetentnego. Zagadnienie to będzie trzeba niewątpliwie, gdy będziemy mieli dostęp do wszystkich materiałów, poddać rozważaniom gruntownym, trzeba bowiem będzie wysnuć wnioski na przyszłość.

Podam tylko kilka charakterystycznych liczb. Otóż gdybyśmy nawet wszystkie sumy, jakie rocznie wydawaliśmy na wyżywienie całego naszego wojska lądowego, przeznaczyli byli na lotnictwo, to moglibyśmy byli uzyskać w najlepszym razie 100 — 150 samolotów, wliczając w to koszt lotnisk, hangarów, szkolenia obsługi, słowem wszystkiego, co jest konieczne, by samolot był nie tylko na pokaz, ale by mógł być istotnie użyteczny. A samoloty te po pięciu latach byłyby zupełnie przestarzałe.

Analogicznie, koszt jednego samolotu, to 3.000 — 4.000 karabinów, lub 50 — 60 karabinów maszynowych. Jedno nowoczesne działko przeciwlotnicze wraz z koniecznym dla jego działania wyposażeniem — to koszt utrzymania rocznego około 750 żołnierzy, to co najmniej 700—800 karabinów lub około 15 karabinów maszynowych.

Jeszcze niekorzystniej przedstawia się sprawa czołgów.

Dane powyższe wykazują, jak niezmiernie trudno było ze szczupłego naszego budżetu przed wojną wykroić potrzebną ilość sprzętu i jak nieproporcjonalnie drogi jest nowoczesny sprzęt techniczny. Budżet nasz wojskowy był, jak owa przysłowia, za krótka kołdra, która osłania nogi, gdy chce się przykryć głowę, z tym jednak, że w stosunku do naszych potrzeb przypominał on raczej chusteczkę, którą chciałoby się zastąpić kołdrą.

Muszę jednak stwierdzić, że w ramach tych wydatków, które szły na techniczne wyposażenie wojska, nie było żadnego marnotrawstwa — jakby to można było wnosić ze słów Ksawerego Pruszyńskiego — i że w tych granicach produkowaliśmy stosunkowo niezmiernie tanio sprzęt, stojący na najwyższym poziomie technicznym w Europie. Sprawę tę zresztą omówiłem obszernie w ostatnich numerach „Orla Białego”.

Zapewne, można było produkować mniej karabinów maszynowych, a więcej samolotów, mniej dział połowych, a więcej czołgów, mieć mniej wojska, a zato więcej dział przeciwlotniczych. Ale, jak to wynika z poprzednio podanych liczb, możliwości były niezmiernie skąpe i, jakkolwiek byśmy kroili, zawsze mielibyśmy o wiele za mało, by móc stawić czoło Niemcom.

Zachodzi pytanie, czy nie należało więc bardziej jeszcze zacisnąć pasa i — zrujnowawszy całe gospodarstwo narodowe — obrócić (za wzorem Niemiec) wszystkie dochody i cały majątek narodowy na zbrojenia. Czy jednak nawet i wtedy uboga Polska, zrujnowana 130-letnią, niewolą i siedmioletnią wojną, co ją „przeszła od końca do końca”, mogła była osiągnąć choć drobną część tego, co wysoko uprzymysłowione Niemcy, utuczone kontrabucją francuską, świetnym 40-letnim przeszło pokojowym rozwojem, Niemcy, które wyszły z wojny z krajem niezniszczonym, a po niej wchłonęły na wieczne nieoddatnie przeszło 20 miliardów dolarów pożyczek amerykańskich, — niech na to pytanie odpowiedzą bardziej ode mnie kompetentni ekonomiści.

A jednak — mimo tej biedy — odejmując sobie od ust, mieliśmy na początku wojny znacznie

lepsze wyposażenie w samolotach i w innym sprzęcie technicznym niż bogata Francja i potężna Anglia.

Wreszcie należy stwierdzić, że nasze wyposażenie techniczne wojska nie zawsze było tak nieproporcjonalnie niskie w porównaniu do Niemiec, jak w 1939 r. Wprost przeciwnie, przed Hitlerem mogliśmy przy rozgrywce z Niemcami mieć pewne szanse. Należy jednak pamiętać, że napastnik ma zawsze przewagę nad mijającym pokój i że — zwiastując dziś — państwo, przygotowujące się w tajemnicy do napadów, zwłaszcza jeśli jest to państwo silnie uprzymysłowane, uzyskuje w najgorszym razie co najmniej kilka lat wyprzedzenia w zbrojeniach przed swą ofiarą. W tych warunkach jedna jest tylko rada — ucieczka przed przeciwnikiem, zanim on dokończy swych zbrojeń, t. j. wojna prewencyjna. Tak postąpiła np. Japonia w 1904 r. Po dojściu Hitlera do władzy, Polska dwukrotnie wojnę taką proponowała. Nie naszą jest winą, że uśpiony pacyfistyczną propagandą Zachód propozycje te odrzucił.

Jeżeli wreszcie chodzi o artylerię przeciwlotniczą, to nie tylko sprzedawaliśmy ją zagranicą, ale ponadto uzbieraliśmy się w nią i sami, niestety w zbyt skąpych zakresach, ze względów przytoczonych wyżej, oraz innych, które szerzej omawiam w „Orle Białym”. A jeżeli część dział sprzedawaliśmy zagranicę, to bynajmniej nie przez naszą lekomyślność, by pozbyć się tego cennego sprzętu, ale poprostu dlatego, że w naszych warunkach gospodarczych i przy naszym budżecie jedynym sposobem uzyskania potrzebnych dla naszej produkcji wojennej surowców i maszyn oraz utrzymania naszego przemysłu wojennego na poziomie przewidywanych naszych potrzeb wojennych — było sprzedawanie części wyprodukowanego sprzętu obcym. W tych warunkach, im więcej eksportowaliśmy broni, tym więcej mogliśmy mieć jej i dla siebie.

Dr. Tadeusz Felsztyn

24 sierpnia 1943 r.

* * *

W odpowiedzi na list p. Felsztyna Redakcja uważa za swój obowiązek zauważyć, co następuje:

Należy zgodzić się z autorem listu, że celowość naszych wydatków wojskowych można będzie zbadać gruntownie dopiero w przyszłości, gdy dostępny będzie pełny materiał. Poruszona w liście sprawa „za krótkiej koldry” łączy się z krytyką naszej polityki gospodarczej, którą znajdujemy w artykule Pruszyńskiego. Krytyka wydaje się nam słuszną. Ograniczmy się do jednego przykładu, ale szczególnie wymownego. Weźmy produkcję stali, a więc produkcję podstawową dla obronności kraju. Wynosiła ona w r. 1913 na ziemiach polskich 1677.000 ton, w latach kryzysu (1932) spada do 564.000 ton, a w roku 1938 osiąga 1451.000 ton, a więc mniej niż w roku 1913 na tym samym terytorium, i to w okresie, kiedy sąsiedzi nasi tak silnie zwiększyli swoją wytwórczość stali. Przy większej ogólnej produkcji stali mogliśmy mieć więcej zarówno karabinów maszynowych, jak i samolotów, zarówno dział, jak i czołgów. O wyborze między produkcją czołgów, dział, czy samolotów decydować może tylko technika wojskowa, warunkiem zaś wysokiej produkcji stali jest dobra polityka gospodarcza, a nie rujnowanie gospodarstwa narodowego. Polityka Niemiec do tego celu nie dążyła, przeciwnie, Niemcy osiągnęli znaczne zwiększenie swojej zdolności produkcyjnej.

Eksport wytworów naszego przemysłu żelaznego był koniecznością dla zapłacenia importu surowców, nie wynika z tego jednak, aby wskazany był eksport broni, a nie np. szyn i materiału kolejowego, i aby eksport ten wskazany był także i w miesiącach, poprzedzających wojnę. Gdyby nawet eksport broni był rentowniejszy, to i tak argument ten nie byłby przekonujący tam, gdzie chodziło o obronność kraju.

Czy naprawdę „mieliśmy na początku wojny znacznie lepsze wyposażenie w samolotach i innym sprzęcie technicznym niż bogata Francja i techniczna Anglia”? Byłoby rzeczą bardzo miłą, gdyby dało się tego dowiedzieć. Ale trzeba by dowiedzieć. A materiał dowodowy jest, skoro wiele danych o kampanii francuskiej już ogłoszono. Co prawda powtarzające się w relacjach z tej kampanii skargi, mówiące o znacznych ilościach czołgów, że użytych przez dowództwo francuskie, nie zdają się przemawiać za słusznością twierdzenia p. Felsztyna.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Już, już zdawało się, że Sprzymierzonych czeka pod Salerno nowa Dunkierka. Komunikaty niemieckie donosiły o spychaniu Płatej Armii ku morzu, o jej wielkich stratach, zapowiadały likwidację całego frontu. Sytuacja wyglądała już groźnie. Ocalała ją w znacznej mierze szybko i sprawną pomoc Osmej Armii gen. Montgomery'ego.

Zwycięstwo niemieckie pod Salerno niewiele zmieniłoby w ogólnej sytuacji wojennej. Było ono jednak Niemcom gwałtownie potrzebne ze względów politycznych. Niemcy nie mają w tej chwili żadnych szans na wygranie tej wojny. Jedyna ich nadzieja, to że uda im się, grając na rozdźwiękach wśród Sprzymierzonych, uzyskać pokój kompromisowy, w którym mogliby uratować część zdobyczy wojennych, a napewno czołgów i suwerenność Rzeszy. Do tego jednak potrzeba im dwu rzeczy: przede wszystkim czasu, któryby im pozwolił przeczekać aż do momentu, kiedy odpowiednia koniunktura może się nadarzyć. Po drugie zaś, muszą oni utrzymywać Sprzymierzonych w przekonaniu, że są ciągle jeszcze przeciwnikiem groźnym, o dużym potencjale wojennym, z niezłamanym duchem bojowym i z którym walka może być jeszcze bardzo ciężka i kosztowna. A dla tego gwałtownie potrzebne są jakieś sukcesy wojskowe.

Zwycięstwo nad armią amerykańską mogłoby im się tu najbardziej przysłużyć. W Ameryce ciągle są żywe prądy, które głównego wroga Stanów Zjednoczonych widzą nie w Niemczech, ale w Japonii. Prądy izolacjonistyczne przycichły tam co prawda, ale nie znikły zupełnie. Stąd Niemcy mogli liczyć, że w Ameryce, w razie niepowodzeń i dużych strat wojennych, mogliby być stosunkowo najłatwiej wywołać atmosferę przychylną dla pokoju negocjowanego.

Wszystkie te rachuby zostały w ostatnich dniach przekreślone. W braku rzeczywistego zwycięstwa propagandzie niemieckiej wypadło rozklemać sukces bardzo wątpliwej doniosłości. Kto słuchał radia niemieckiego między 15 a 20 września, ten gotów był przypuszczać, że uwolnienie przez spadochroniarzy niemieckich Mussoliniego było jednym ze zwrotnych punktów tej wojny. Uwolnienie to — rzeczywiste było aktem nie tyle jakiejś brawury spadochroniarzy niemieckich, okoliczności jego były efektowne, ale jego doniosłość polityczna jest minimalna. Usunięcie Mussoliniego od władzy i likwidacja partii jego przeszły we Włoszech tak łatwo, tak bez poważniejszych sprzeciwów, że odejście od władzy w takich warunkach musiałoby poważnie zaszczać prestiżem każdego polityka, co dopiero człowieka, którego reżim faszystowski otaczał aureolą Wodza Narodu, w którego ręce włożono niepodzielna władzę nad państwem i z którego nieomyślności („Il Duce ha sempre ragione”) zrobiono dogmat mądrości politycznej obywatela. W skargach niemieckich, że Mussolini został tak niegodnie przez króla i Badoglię potraktowany, jest dużo z naiwnej etyki murzyńskiej, ale jest też i coś więcej: przekonanie, że poszkodowany jest nie tylko Duce osobiście, ale i sama zasada wodza, „Führerprinzip”.

Zresztą w chwili kiedy Mussolini został odsunięty od władzy, rząd włoski miał wobec Niemców jeszcze pewną swobodę ruchów (samo odsunięcie Mussoliniego jest tego najwymowniejszym dowodem), z chwilą kiedy wrócił do „władzy” — zastał kraj pod bezpośrednią okupacją niemiecką. Musi się zadowolnić rolą głowy marionetkowego rządu okupowanego kraju. Obłit Duce, natus est Quisling.

Mozemy teraz zrobić bilans poddania się Badoglii Sprzymierzonym. Wypada on poważnie. W ręce Sprzymierzonych wpadły trzy południowe prowincje włoskie i zajmująca ważną pozycję strategiczną Sycylia. Razem z Sycylią stanowi to 30% całej powierzchni Włoch i 23% ilości ludności: ponad 36.000 mil. kilometrów kwadratowych i bez mała dziesięć milionów ludności. Jest to już bardzo poważne terytorium europejskie, na którym wprowadzony został eksperyment zarządu Amgotów. Od powodzenia tego eksperymentu zależęć będzie bardzo wiele w powojennym układzie stosunków w Europie. Niestety, jak dotąd, nie mamy o nim żadnych wiadomości.

Dalej — kapitulacja Badoglii otworzyła Sprzymierzonym dostęp na Korsykę, pozwoliła im wysłać trzy wyspy z Dodekanazu, ogromnie uaktywniła działania wojenne w Jugosławii. W ten sposób bardzo ożywił się cały front śródziemnomorski. Front ten ciągnie się od południowych wybrzeży Turcji aż po pirenjską granicę Francji, — nie jest on wcale krótszy od rosyjskiego. Prawda, działania wojenne toczą się, jak dotychczas, tylko na niektórych odcinkach tego frontu, ale i w Rosji napewno — mimo że na całej długości frontu dokonują się gigantyczne przesunięcia armij — walki nie toczą się na całej długości frontu. Licytacja, który front jest większy: pierwszy czy trzeci (tak — trzeci, bo ten drugi to ten, który istniał wtedy, kiedy na pierwszym było jeszcze idyllicznie, i o którego powstaniu znowu zapewniał nas ostatnio premier Churchill), jest zabawa dość dziecinna. Trzeba jednak przestrzec przed niedocenianiem wagi frontu śródziemnomorskiego.

Pod względem ściśle militarnym najpoważniej przedstawia się jednak inna zdobycz Sprzymierzonych. Na Malcie i do innych portów brytyjskiej wypłynęło około stu dwudziestu jednostek włoskiej floty wojennej, w tym pięć pancerników. Tylko jednostki włoskie, operujące na morzu Czarnym, nie pośpieszyły na wezwanie i nie wpłynęły do rosyjskich portów kaukaskich. W ten sposób w ręce Sprzymierzonych wpadła niemal że cała flota wojenna (tegoroczny „The Statesman's Year book” obliczał ilość jednostek floty włoskiej w r. 1942 na 158, w tym prawdopodobnie siedem pancerników). Świat naraz przypominał sobie, że Włochy miały potężną marynarkę wojenną, mniej

więcej równą ilości jednostek francuskiej. A można już było zapomnieć. Co prawda słyszało się często głosy krytyczne o okrętach włoskich: o jakości pancerny pancerników i wartości dział okrętowych, tym niemniej przejście na stronę Sprzymierzonych tak potężnej floty musy gruntownie zmienić proporcję sił stron walczących na morzu. Będzie to miało ogromne znaczenie dla dalszego rozwoju działań wojennych na Pacyfiku, gdzie wszelkie działania ofensywne Sprzymierzonych zależne są przede wszystkim od ilości okrętów, jakie będą oni mogli rzucić na ten front. Rachunek za kapitulację Badoglii w znacznej mierze przyjdzie zapłacić Japończykom.

* * *

O innym wielkim zwycięstwie Sprzymierzonych donosił w swym przemówieniu premier Churchill. Komunikaty brytyjskie kazały nam się go domyślać już dawniej, ale trudno było przypuścić, że jest ono tak zupełne. Dopiero z przemówienia Churchilla dowiedzieliśmy się, że w ciągu czterech miesięcy od dnia przemówienia żaden statek handlowy Sprzymierzonych nie został storpedowany na Atlantyku, od dwóch tygodni wogóle żaden statek nie został storpedowany na żadnym z mórz. Znaczący to, że Sprzymierzeni odnieśli w wojnie morskiej wspaniałe w swej „totalności” zwycięstwo, że zdołali sytuację na morzach opanować w sposób bez porównania lepszy, niż w poprzedniej wojnie światowej, i to mimo że Niemcy rzucili teraz do walki wielokrotnie więcej łodzi podwodnych niż wtedy. Wiadomość o tym zwycięstwie podana została w sposób bardzo charakterystyczny dla brytyjskiej „understatement”: bez żadnych fanfar, przeciwnie, z ostróżnym uprzedzeniem, że tak pomyślna sytuacja może się w najbliższym czasie zmienić na gorsze.

* * *

Wiadomości o wielkich zwycięstwach Sprzymierzonych pędzą teraz jedna za drugą. Właśnie dlatego, skoro wynik działań wojennych jest już właściwie zgóry przesądzony, punkt ciężkości naszych zainteresowań musi się przesunąć na sprawy polityczne. Coraz aktualniejszą staje się sprawa powojennego urządzenia świata, „wygrania pokoju”. Wiemy, że na ten temat toczą się bardzo żywe rozmowy, i że kancelarie ministerstw, departamentów i komisariatów spraw zagranicznych są tu bardzo dyskretnie. Wiemy, że tym sprawom przede wszystkim poświęcona była długa, sześciotygodniowa wizyta premiera Churchilla do Ameryki. Co przywiozł z sobą? W długiej mowie, wygłoszonej po powrocie z Waszyngtonu, premier Churchill obszernie omówił sytuację wojenną, podniósł raz jeszcze znaczenie zwycięstwa, łączących Wielką Brytanię ze Stanami Zjednoczonymi, ale o rezultatach politycznych swojej podróży nie powiedział nic.

Toczą się rozmowy z Rosją. Z jakim skutkiem? Napewno nie są to rozmowy łatwe. Ukoronowaniem ich ma być konferencja Roosevelt — Churchill — Stalin. Ale o konferencji tej wiemy tylko tyle konkretnego, że wyprzedzić ją mają konferencje Cordell Hull — Eden — Mołotow. A o tych konferencjach już nie konkretnego nam dotychczas nie wiadomo. Ani miejsca, ani terminu tej konferencji nikt nie potrafi wskazać i bodaj że nikt jeszcze nie wie.

W takiej sytuacji przemówienie radiowe, jakie Cordell Hull wygłosił dnia 12 września, ma znaczenia pewnej deklaracji zasad, z jakimi Stany Zjednoczone przystąpią do stołu obrad Konferencji Pokojowej. Z sześciu punktów Cordell Hulla dla nas dziś szczególnie znaczenie mają trzy:

Punkt drugi: „Każdy naród suwerenny, wielki lub mały, jest w obliczu prawa równy każdemu innemu narodowi”.

Punkt trzeci: „Wszystkie narody, wielkie czy małe, które respektują prawa innych, wolne być powinny od mieszanin się czynników zewnętrznych w ich sprawy wewnętrzne”.

Punkt szósty: „Współpraca między narodami w duchu dobrego sąsiedztwa, oparta na zasadach wolności, równości, sprawiedliwości, moralności i prawa, jest najbardziej skuteczną metodą zabezpieczenia i pielęgnowania dobrobytu politycznego, ekonomicznego, socjalnego i kulturalnego naszego narodu i wszystkich innych państw”.

W dzień później w Londynie, na Radzie Narodowej, wygłosił ekspozje minister Romer. I on stwierdził konieczność „pojęcia rzetelnej demokracji w stosunkach międzynarodowych”. Oświadczył też:

„Nie widzimy tej racji, dla której Polska miałyby po wspólnym zwycięstwie dorzucić jakieśkolwiek ofiary własnej ziemi czy ludności do tych strasznych ofiar, które już złożyła i wciąż składa w niezłomnej, uznawanej i podziwianej przez wszystkich obronie wolności swojej i świata. Byłoby to głęboko niemoralne i niezgodne z ideałami, o których triumf walczy nasz obóz”.

Ideą te — to zasady Karty Atlantycznej, które obowiązują — formalnie rzecz biorąc — wszędzie, gdzie panują rządy państw Sprzymierzonych: od San Francisco po Władywostok. Z ducha postanowień Karty Atlantycznej wyrasta sześć punktów Cordell Hulla. Nie stanowią więc one tutaj żadnego novum. Tym nie mniej cieszyć się należy, że w gorączce walki o wygranie pokoju z ust tak autorytatywnych przypomniano szczerne zasady Karty Atlantycznej. Wogóle należy się zawsze cieszyć, kiedy silni i możni tego świata zapewniają nas o swym szacunku dla równości i demokracji.

ww.

Adres Redakcji: Polish Information Centre, Jerusalem, Bezalel Street, House Valero.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press

O FILMIE INDYJSKIM I ARABSKIM

Z chwilą przekroczenia granicy perskiej, znaleźliśmy się w zasięgu starej kultury ludów Wschodu. Przed 39-tym rokiem, dochodziły zresztą do Polski filmy narodowe krajów egzotycznych. Najczęściej filmy japońskie, pamiętam też jeden chiński. Tu, na Środkowym Wschodzie, po raz pierwszy zobaczyłem film produkcji indyjskiej i egipskiej. Wracając w nocy z przepustki niedzielnej, czekając na autostop, zobaczyłem nagle w głębi pustyni na skraju palmowego gaju snop światła. Pobiegłem w jego stronę. Wyświetlano autentyczny film indyjski dla oddziałów hinduskich. Ekran był tak skonstruowany, że brązowa publiczność mogła podziwiać film, siedząc po obu jego stronach. Od publiczności szedł gwar, wyrażała ona nieco głośno zarówno aprobatę, jak i niezadowolone z aktorów szutki. Akcja filmu odbywała się w pałacach, miasteczkach, wioskach, w gajach, pełna była śpiewu i tańca. Film nakręcony w wytwórni w Bombaju, przez reżyserów i aktorów indyjskich na aparaturze amerykańskiej. Trwał on trzy godziny. Film indyjski jest najdłuższym filmem świata.

Drugim z rzędu egzotycznym filmem był film arabski, nakręcony przez wytwórnię „Misr” pod Kairem. Niezły montaż, film przypominał technikę filmu polskiego dzięki raczej teatralnemu stylowi gry. Od tego czasu oglądam kilka filmów arabskich. W Kairze, Jerozolimie, Bagdadzie, Jaffie i Damaszku, jak i indyjskie (Bagdad oraz kina obozowe).

Wzorem dla filmu indyjskiego jest bezspornie film amerykański — a więc bardzo jasne zdjęcia, wyraźnie rysowane charaktery, ostateczne zwycięstwo dobra i t. p. W arabskich — wpływ raczej wysokiej klasy filmu francuskiego, ze scenami pełnymi tak tonacyjnymi światłocieniami, jak i subtelności gry oraz delikatnego humoru.

Z chwilą wybuchu wojny 39-tego r., trudności

transportowe dopływu filmu amerykańskiego, kompletnego wyeliminowania filmu europejskiego, jak też wciągnięcia nowych rzesz odbiorców filmu (dwumilionowa armia indyjska, palestyńska, iracka i t.d.), ogłosiła gospodarczego krajów Środkowego Wschodu, rozpoczęła się nowa era dla filmów krajów egzotycznych. W Jerozolimie jeden przynajmniej, a często dwa ekrany zajęte są przez film arabski, co w wyniku gry wszystkich filmów, nakręconych w studio arabskim, daje około pięćdziesięciu rocznie.

Zaznajamiamy one z folklorem, zwyczajem, obyczajem, sztuką, specyficznym spojrzeniem na świat społeczeństw Wschodu.

W kilku filmach indyjskich, które widziałem, była wstawka z narodowymi tańcami indyjskimi, pełne też one są narodowymi piosenkami i muzyką. Patrząc na filmy, jesteśmy zdani — nie rozumiejąc języka — na czyste kinematograficzne wartości i muzykę, która jest współtwórcą nastroju i często tłumaczy sens psychiczny przeżyć bohaterów. My, Europejczycy, rozumiemy je, są dla nas jasne, dzięki autentyczności. O filmie kolorowym oczywiście nie mogą jeszcze te młode kinematografie marzyć, a ileż by one zyskały na tym! Mówią o nadzwyczajnych walorach koloru, dodatki filmowe, nakręcane przez ekipy angielskie na Środkowym Wschodzie, że wspomnę tylko o piętnastominutowym, kapitalnym, kolorowym dodatku, poświęconym starej Jerozolimie, który widziałem w czerwcu w Kairze. Dzięki filmowi egipskiemu i indyjskiemu, poznajemy prawdziwy Wschód, jego prawdziwe troski i radości i uciekają majaki, wkładane nam od dzieciństwa przez film amerykański, który specjalnie pastwił się nad tymi krajami, że przypominie bujologiczny Bagdad w „Złodziu z Bagdadu” czy „Indyjski Grobowiec”.

Stefan Legeżyński

PACZKI DO ROSJI

Przymujemy zamówienia na paczki żywnościowe, ubrania, obuwie do wysyłki. Odbiorca zwołniony jest od wszelkich opłat. Przymujemy również do wysyłki używaną odzież.

BRACIA GURARI

TEL-AVIV, Rothschild Blvd. 17

Rechovoth, dom Char'ab. koło centralnej stacji autobusów Jerozolima „PATRA” Palestine Travel Lloyd Jaffa Rd.

róg Chancellor

Biuro czynne od 10 — 1 i od 4 — 7 popoł.